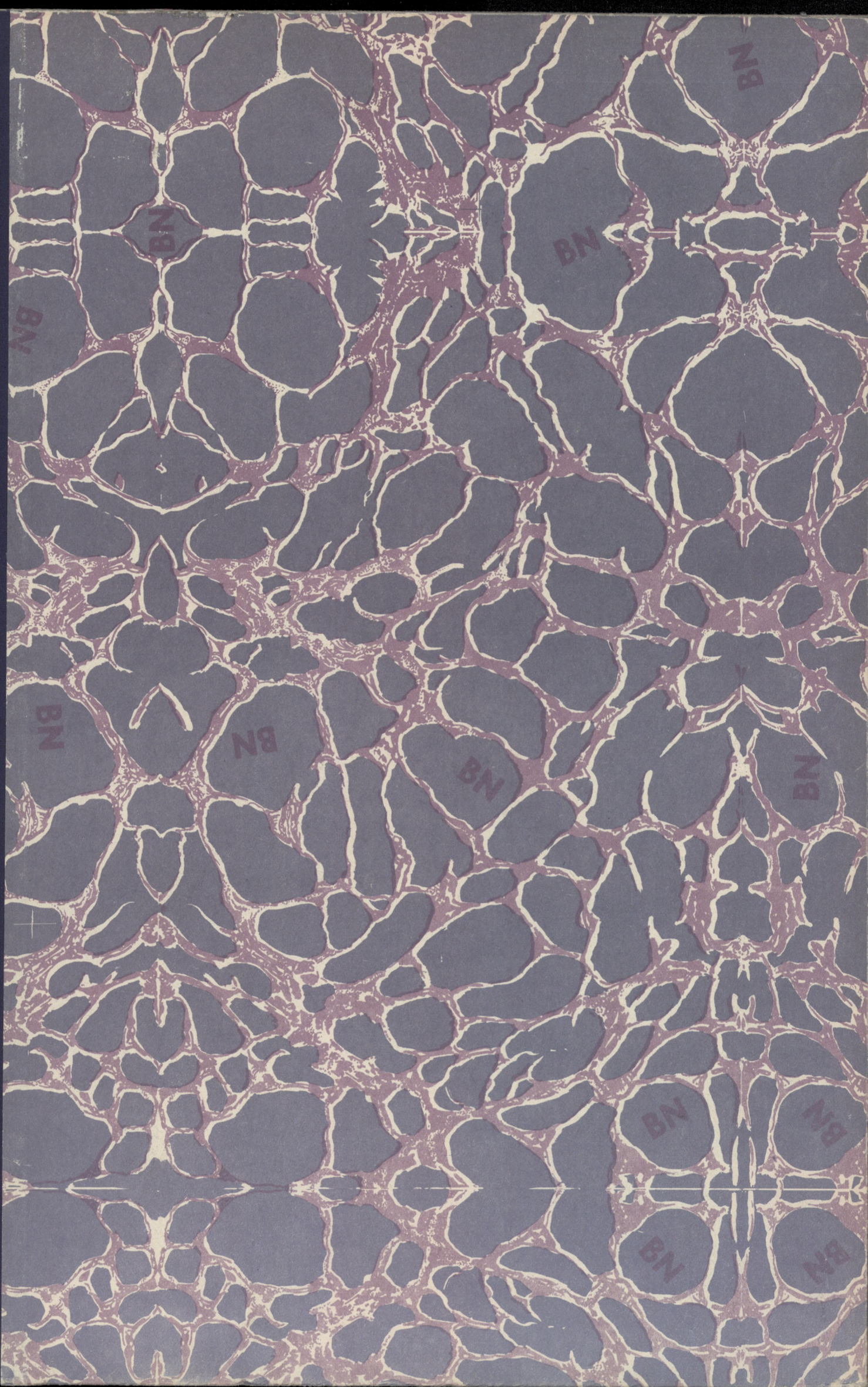
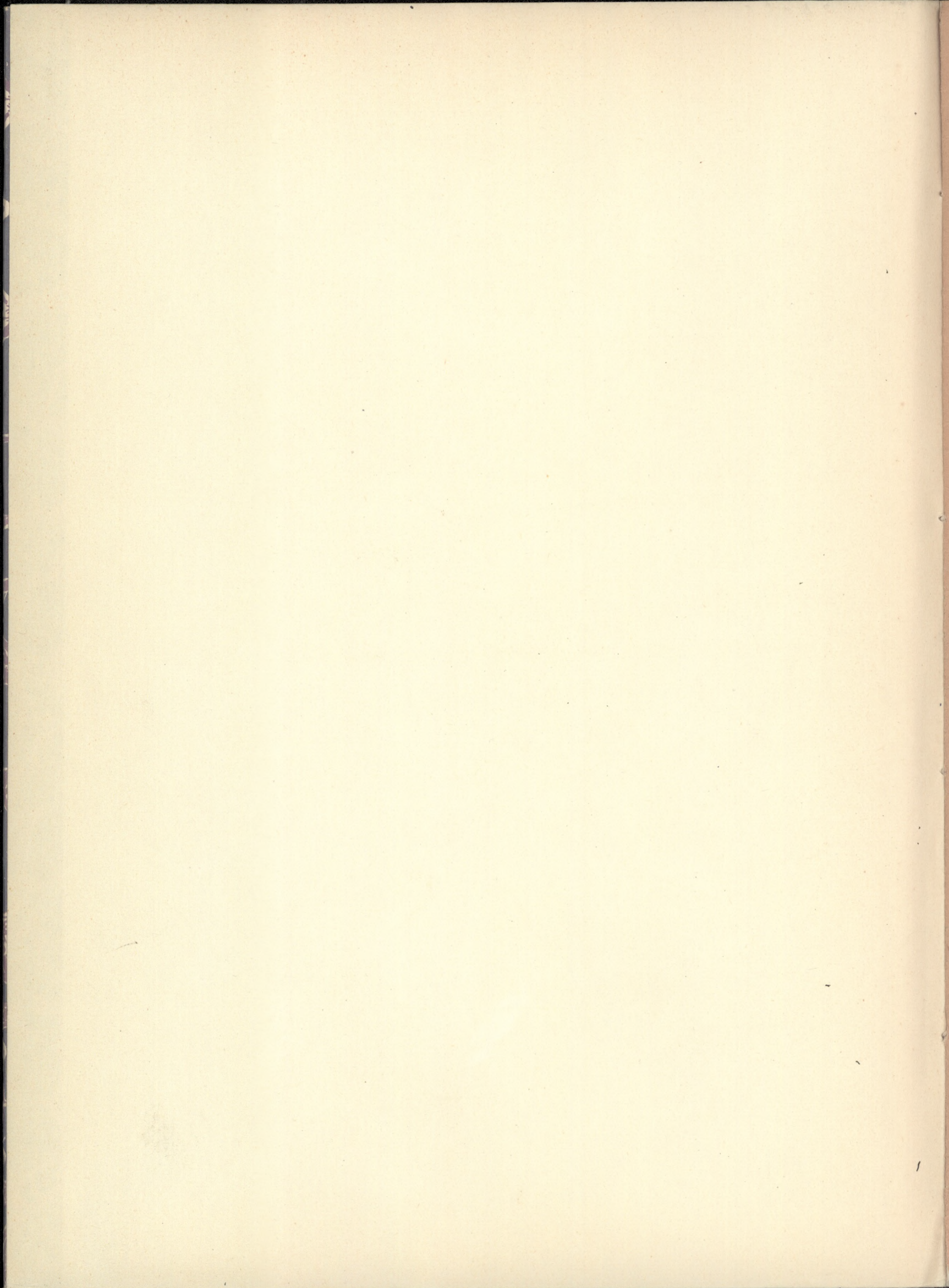


62340613





BN



III - 623.406/3.

NR. 3. KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ CENA 10 GR.

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU

WIEZWYKŁE PRZYGODY PUŁKOWNIKA AMERYKAŃSKIEGO W. F. CODY'EGO

POSCIG NA LODZIE



BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



POSCIG NA LODZIE

Czerwonoskóry olbrzym

Było to pięknego, mroźnego poranka, w styczniu, na terytorium Idaho, obecnie jednego ze stanów Ameryki Północnej. Zima tego roku była wyjątkowo mroźna.

Piękne jezioro Alene było całkowicie pokryte taflą lodową. Lód, gładki jak zwierciadło, był znacznej grubości i mógł wytrzymać ciężar największego zwierzęcia, nawet na środku jeziora.

Obok jednej z licznych odnóg jeziora, niedaleko miejsca, gdzie rzeka Spokana osiąga fale Kolumbii, ukazał się samotny wędrowiec. Wyszedł on z lasu, na brzegu jeziora i wstąpił na lód, zamierzając widocznie przedostać się na drugi brzeg.

Był to człowiek niezwykłego wzrostu. Nosił strój indyjski, a jego pióropusz świadczył o tym, że jest to wielki i szanowany poważecznie wódz.

Po wejściu na gładką taflę lodową, olbrzym przycępił do stóp olbrzymie łyżwy i niebawem można było zaobserwować, że ślizga się on po mistrzowsku. Jego niebywale długie nogi pozwalały mu posuwać się po lodzie z szybkością czwajującego konia.

Nie widać było przy nim broni palnej. Za pasem olbrzyma widniały tylko nóż myśliwski i wielkich rozmiarów tomahawk. Możliwe, że Indianin miał przy sobie inną broń, ale była ona ukryta pod kurtką.

Dziwny wędrowiec dotarł do środka odnogi jeziora w błyskawicznym tempie i nagle zahamował. łyżwy jego wydały przeraźliwy zgrzyt i olbrzym zatrzymał się.

Przez pewien czas obserwował on z napiętą uwagą przeciwległy brzeg, do którego zmierzał, lecz żaden mięsień na jego twarzy nie zdradzał żadnego poruszenia lub zdziwienia.

Wreszcie Indianin wydał gardłowy okrzyk i znów zaczął posuwać się naprzód, nie odrywając jednak wzroku od przeciwległego brzegu, który w dziwny sposób zdawał się przyciągać jego uwagę.

Cóż mógł widzieć ten dziwny wędrowiec na tak wielką odległość? Czy zastanawiał go ruch gałązek w lasku na wybrzeżu? Przecież mógł to być skutek wiatru, który hulał po rozległej powierzchni jeziora.

Olbrzym zaczął znów posuwać się naprzód, teraz zupełnie wolno, w odległości mniej więcej dwustu metrów od brzegu. W pewnej chwili zatrzymał się ponownie i znów wydał dziwny gardłowy okrzyk. Czy jego znów zatrzymały się uważnie na owym tajemniczym punkcie.

Było zupełną niemożliwością, aby czerwonoskóry olbrzym mógł dostrzec człowieka, który właśnie w tej chwili znajdował się na przeciwległym brzegu jeziora, ukryty wśród gałęzi, gęsto porośniętych igliwem. Gałęzie były gęste i splecione, tak że w zupełności kryły tajemniczego człowieka.

Nawet oko najbystrzejszego łowcy nie mogłoby nie dojrzeć na tak wielką odległość.

Tym ukrytym wśród gałęzi człowiekiem nie był nikt inny, jak nasz dawny znajomy — Buffalo Bill.

Obserwował on od dłuższego czasu czerwonoskórego olbrzyma i zastanawiał się nad jego dziwnym zachowaniem się. Cody był pewny, że Czerwonoskóry nie wie o jego obecności.

Zastanawiał się więc, co właściwie mogło przykuwać uwagę Indianina, który wpatrywał się w kierunek kryjówki Króla Granicy.

— To mi się wydaje podejrzane — pomyślał wywiadowca. — Nie mam przecież żadnych powodów do przypuszczania, że ten olbrzym jest obdarzony szóstym zmysłem... Jest to zapewne człowiek którego nazywają powszechnie Kolosem Indyjskim. Nikt na całym Dalekim Zachodzie nie wie, czy jest on po stronie czerwonoskórych rabusiów, plądrujących osady białych, czy też jest neutralnym. Nigdy nie brał udziału w żadnym napadzie, a jednak... Wszędzie, gdzie pojawi się Kolos Indyjski, tam w krótkim czasie następują napady na osiedla białych kolonistów.

W każdym razie nie mam powodu, aby go atakować. Chciałbym jednak sprawdzić, co ten wysoki jegomość zamierza... Aha! Nasz olbrzym zamierza wylądować w pobliżu mnie... posuwa się dalej...

Czerwonoskóry olbrzym posuwał się teraz z ogromną szybkością w kierunku wąskiego półwyspu, znajdującego się nieopodal miejsca kryjówki Buffalo Billa.

— A może ruszyć szybko za nim i nawiązać z

nim rozmowę?... Nie widzę przy nam bronii palnej, tak, że gdyby rozpoczął walkę, miałbym nad nim przewagę. Na szczęście zaopatrzyłem się w parę łyżew. Może mi się przydadzą... Olbrzym posuwa się szybko naprzód, lecz sądzę, że uda mi się go dogonić. —

Wywiadowca zdecydował, że wykona swój zamiar natychmiast. Kryjąc się wciąż za drzewami wycofał się do swego obozowiska, oddalonego o kilkadziesiąt metrów, aby zabrać stamtąd łyżwy.

W obozowisku Buffalo Billa nie było ognia. Cody nie rozpałał ogniska dlatego, że w okolicy grasowali Indianie, których mógłby zwabić dym. Czerwonoskórzy ukrywali się prawdopodobnie w lasach otaczających jezioro.

W pobliżu jeziora znajdowała się osada białych kolonistów, która, jak Cody przypuszczał, miała w najbliższej przyszłości stać się celem ataków Indian. Buffalo Bill przybył nad jezioro, aby śledzić poruszenia Czerwonoskórzych i w porę ostrzec osadników przed ewentualną napaścią.

Przybył on nad jezioro sam, lecz miał się spotkać w miejscu, gdzie rozbił obóz, ze swym starym i wypróbowanym przyjacielem. Nie okazał też najmniejszego zdziwienia, gdy w swym obozowisku zastał Dzikiego Billa Hickocka, również dobrego naszego znajomego.

Przyjaciele nie widzieli się już od kilku miesięcy, a umówili się na spotkanie nad jeziorem przez jednego z traperów, których wielka ilość włóczyła się po okolicy.

Cody odrazu wtajemniczył Dzikiego Billa w swoje plany.

— Czy masz ze sobą łyżwy? — zapytał.

— łyżwy? — rzekł Bill Hickock. — Czy mamy zamiar bawić się w ślizgawkę?

— Nie żartuj — odparł Buffalo Bill. — Mogą one się przydać. Przy pomocy łyżew możemy szybko przenosić się z miejsca na miejsce, a w razie potrzeby możemy nawet przebyć jezioro wzdłuż. Możemy poruszać się szybciej, niż konno i nie mamy potrzeby okrążyć jeziora.

— Wyobraź sobie — odpowiedział Hickock — że wcale o tym nie pomyślałem. Rzekłszy to wydobyl z plecaka parę łyżew, których połysk świadczył o tym, że są wykonane z najlepszej stali.

— I co ty na to? — rzucił Bill Hickock z uśmiechem. — Jestem gotów na wszystko.

— Słyszaleś, co mówią Czerwonoskórzy i osadnicy o Kolosie Indyjskim? — zapytał Cody, kierując się nad brzeg zamrzniętego jeziora.

— Wśród białych, których napotkałem po drodze, nie mówi się o niczym innym. Koloniści tak są przejęci pojawieniem się olbrzyma, że jakby zapomnieli o hordach Indian zwykłego wzrostu, grasujących w okolicy. Ja sam go jeszcze nigdy nie widziałem... —

— A więc pokażę ci go — odparł Buffalo Bill — może uda nam się z nim porozmawiać!

Wywiadowcy znaleźli się na lodzie. Król Granicy wyciągnął przed siebie ramię i wskazał Dzikiemu Billowi olbrzyma, który szybko i lekko poruszał się po zamrzniętej tafli. Wyglądał tak, jakgdyby ślizganie sprawiło mu przyjemność i zdawał się nie zwracać uwagi na żadne niebezpieczeństwo.

Tymczasem dwaj przyjaciele, zasłonięci drzewami, porastającymi wybrzeże przygotowywali się do pościgu.

— Cóż za potężny wzrost!... — mruknął Dzik

Bill, obserwując ze zdumieniem olbrzyma. — Ten drab mierzy chyba więcej niż siedem stóp... —

— Może zmierzmy go dokładnie — rzucił Buffalo Bill. — Spróbujmy podążyć za nim, zobaczymy, jak na to zareaguje.

Tymczasem Indianin zachowywał się w sposób dość dziwny. Zmieniał co pewien czas kierunek drogi, kołował na lodzie, rzucał się całym pędem w stronę brzegu, to znów wycofywał się na środek jeziora. W pewnej chwili zatrzymał się i zaczął znów wpatrywać się w miejsce, gdzie znajdowali się obaj wywiadowcy.

— Przecież ten drab nas widzi! — zawołał Dzik Bill, nie posiadając się ze zdumienia.

— To niemożliwe! — odparł Cody. — Może nas najwyżej przeczuwać...

Ale i Król Granicy był zdumiony niesamowitymi właściwościami czerwonoskórego olbrzyma, który zdawał się widzieć na tak znacznej odległości i poprzez gęstą zaslone z drzew.

— W każdym razie ruszamy w jego kierunku! — rzekł Buffalo Bill.

— Wyścig odbędzie się między tobą, a Indianinem — powiedział Dzik Bill. — Zostawisz mnie wkrótce z tyłu...

— Możliwe — odparł Cody. Zdaje mi się, że mam lepsze łyżwy od twoich. Musisz jednak dążyć za mną, aby być w pogotowiu. Ruszamy! Jazda!...

Wywiadowcy wypadli na jezioro i pomknęli jak strzały

Przerwany pościg

Olbrzym odwrócił głowę w kierunku wywiadowców i obserwował ich przez chwile, nie zwalniając tempa, poczym nagle zatrzymał się.

Ten nieoczekiwany manewr wywołał zdziwienie białych, które zwiększyło się jeszcze, gdy Indianin zatoczył szerokie koło, a potem zaczął wykonywać jakieś ewolucje, jakgdyby wypisywał jakieś litery na lodzie.

Czerwonoskórzy, nie oglądając się już teraz wcale na wywiadowców, zakończył spokojnie swe popisy i ruszył długimi posunięciami łyżew na środek jeziora.

— Poprobujemy teraz naszej szybkości! — zawołał Buffalo Bill.

Dzik Bill Hickock pozostał tymczasem nieco w tyle, a gdy Cody zwiększył tempo, Hickock zupełnie zrezygnował z pościgu, posuwając się tylko z wolna naprzód.

Czerwonoskórzy początkowo nie zdawał się czytać wielkich wysiłków, aby utrzymać dystans między sobą a Codym. Po pewnym jednak czasie olbrzym spostrzegł, że wywiadowca zbliża się coraz więcej pochylił się więc do przodu, łyżwy mocniej wparły się w lód i Czerwonoskórzy pomknął z szybkością wiatru.

Buffalo Bill nie wyteżał się zbyt. Narazie chodziło mu jedynie o utrzymanie odległości między sobą a Indianinem. Maksimum wysiłku chciał zostawić na później, gdy dojdzie do decydującego momentu. Jego nowe łyżwy krajały lód z cichym chrzęstem, pozostawiając na gładkiej powierzchni jeziora długie rysy.

Ścigany i ścigający zwiększali z każdą chwilą szybkość. Indianin rzucał teraz częste spojrzenia po za siebie, sprawdzając odległość, dzielącą go od

Białego. Wydawało się, że stracił już pewność swej przewagi nad wywiadowcą. Olbrzym posuwał się teraz po przekątnej jeziora, zamierzał więc przebyć około dziesięciu mil. Kolosowi Indyjskiemu zależało prawdopodobnie na zmęczeniu prześladowcy.

Widząc ten manewr olbrzyma, Buffalo Bill był bliski przerwania pościgu.

— Poczóż mam gonić go przez całe jezioro? — pomyślał. — Przecież ten czerwony drab jest na pewno wytrzymałszy ode mnie. Jeżeli go nawet dogonię, to znajdę się w takim położeniu, jak myśliwy, który złapał w sidła... słońca. Cóż z nim zrobić? Nie będę do niego strzelał, bo czyż mam pewność, że olbrzym jest na wrogiej stopie z kolonistami?...

Podczas tych rozmyślań Cody ani na chwilę nie zmniejszył tempa pościgu. Ogarnęła go gorączka gonitwy — pędził za czerwonoskórym olbrzymem tak, jak podczas łowów za niedźwiedziem, lub stadem bawołów.

Można teraz było wyraźnie zaobserwować, że odległość między Buffalo Billem a Indianinem, gwałtownie się kurczy. Czerwonoskóry miał jednak dość jeszcze sił i chował je na później, gdyż droga była długa.

Dzięki Bill posuwał się zwolna wzdłuż brzegu jeziora i uważnie obserwował przebieg wydarzeń.

Widział on obydwóch mężczyzn, poruszających się po lśniącej tafli lodowej, jak na dloni. Bill Hickock nie należał do ludzi, którzy czują się pokrzywdzeni, gdy nie jest im dane grać główną rolę w jakimś wydarzeniu. Mimo, że nie brał bezpośredniego udziału w pościgu, gdy zauważył, że Cody dopędza Indianina, krew żywiej zaczęła krążyć w żyłach.

— Pięknie, stary przyjacielu — mruknął półgłosem. — Już go masz!...

Tymczasem Indianin znów zmienił kierunek. Nagle skreślił gwałtownie i skierował się znów ku brzegowi. W ten sposób skrócił on znacznie drogę, co było na rękę Cody'emu, który był szybszy od olbrzyma, choć mniej wytrzymały.

Nadszedł moment decydujący. Buffalo Bill skupił wszystkie siły i ruszył w ślad za Czerwonoskórym z nieprawdopodobną szybkością. Wywołało to znów szereg uwag Dzikiego Billa, który do głębi przejmował się tym niezwykłym widowiskiem.

— Tego jeszcze nie było!... — krzyknął Hickock pełen podziwu dla przyjaciela. — Buffalo pędzi szybciej od lokomotywy... Ten czerwony dryblas widzi zaś co się święci i wyciąga jak może swe długie nogi... Zaczyna się robić gorąco!...

Tymczasem Czerwonoskóry pędził ze wszystkich sił, chcąc za wszelką cenę ująć białemu. Jego długie nogi dawały mu pewną przewagę na dłuższy dystans, lecz obecnie, gdy chodziło o szybkość, a nie o wytrzymałość, Buffalo Bill był pewny zwycięstwa.

Cody zbliżył się już o tyle do uciekającego, że zaczął przygotowywać się do rzutu lassem. Chciał jednak przedtem strzelić na postrach, aby w ten sposób zmusić Indianina do zatrzymania się.

Jednym ruchem zdjął Król Granicy fuzję z ramienia, odbezpieczył ją i zawołał za Czerwonoskórym:

— Zatrzymaj się, bo będę za tobą strzelał!

Z piersi Kolosa Indyjskiego wydobył się dziki krzyk. Jednocześnie Indianin zatrzymał się zwolna

i zwrócił twarzą w kierunku Cody'ego.

W tej samej chwili na wybrzeżu rozległ się chór piekielnych wrzasków.

Z lasu na brzegu wypadła horda Czerwonoskórych i rzuciła się z okrzykami wojennymi w kierunku Buffalo Billa.

Nick Wharton na widowni

Role zostały zamienione.

Król Granicy ze ścigającego stał się ściganym.

Odwrócił się z szybkością błyskawicy i rozpoznał odwrót. Zdażył jednak spostrzec ze zdumieniem, że Czerwonoskóry olbrzym również zataczył półkole na lodzie i począł szybko oddalać się od Indian, jakgdyby wcale nie był zadowolony z ich pojawienia się.

Buffalo Bill w szalonym pedzie zaczął posuwać się na środek jeziora, skąd zamierzał później dotrzeć do swego obozowiska. Horda Indian nie posiadała łyżew i nie mogła go gonić po lodzie. Buffalo nie obawiał się też pościgu, lecz strzałów, którymi Czerwonoskórzy mogli go obsypać.

Cody nie mylił się. Indianie przebyli kilkadziesiąt kroków, niezręcznie potykając się po śliskiej powierzchni lodu, a wreszcie zatrzymali się i otworzyli gesty ogień za wywiadowcą.

Kule zaczęły świstać nad głową Króla Granicy. Czerwonoskórzy nie mogli strzelać celnie, gdyż lśniąca powierzchnia lodu uniemożliwiała dokładne celowanie. Pociski padały jednak tak gęsto, że Buffalo Bill znajdował się w poważnym niebezpieczeństwie. Należało odpowiedzieć strzałami, aby przerazić Indian i zmusić ich do zaprzestania strzelaniny.

Buffalo Bill pewną ręką ujął karabin i strzelił trzykrotnie w kierunku hordy Czerwonoskórych. Wrzaski wściekłości, bólu i trwogi przekonały go, że osiągnął cel. Kule jego raniły prawdopodobnie któregoś z Indian.

Czerwonoskórzy dali jeszcze kilka strzałów w kierunku wywiadowcy, nie czyniąc mu jednak żadnej krzywdy, poczym wycofali się na brzeg i ukryli w lesie, gdzie czuli się pewniej i bezpieczniej, niż na otwartej przestrzeni.

Indianie atakują zwykle z ukrycia, lub z zasadzki, a gdy przychodzi do otwartej walki, rzadko potrafią dotrzymać pola białym, nawet, gdy są w przeważającej ilości.

Buffalo Bill pomknął teraz jak strzała, zmierzając do brzegu, gdzie znajdował się jego obóz. W połowie drogi napotkał zdyszanego Billa Hickocka, który na odgłos strzałów chciał przybyć mu z pomocą.

Natomiast czerwonoskóry olbrzym — poprostu zniknął. W czasie walki i ucieczki Cody nie miał czasu obserwować go — było przeto możliwe, że Kolos Indyjski dotarł do brzegu i ukrył się w gęstwinie leśnej.

— To było nadzwyczajne! — zawołał Dzikie Bill. — Ale skąd ta banda rabusiów znalazła się tak szybko nad jeziorem?

— Napozór mogłoby się zdawać, że była to zasadzka — zauważył Cody. — Dlaczego jednak ten wielki Indianin uciekł przed inoimi prześladowcami, tak jak i ja? Czy sądzisz, że olbrzym celowo zwabił mnie w sam środek tych diabłów?

— Tak to wyglądało — odparł Dzikie Bill.

— I czy sądzisz, że jego okrzyk był sygnałem dla ukrytych Indian? — zapytał Cody.

— Oczywiście!

— Zdaje się, że mylisz się, przyjacielu — rzekł Buffalo Bill.

— Jesteś więc zdania, że olbrzym nie miał nic wspólnego z bandą, ukrytą w lesie? — spytał Bill Hickock ze zdumieniem.

— Tak sądzę — odparł spokojnie Cody.

— A ja sądzę, że masz zbyt wiele zaufania do tego lotra! — rzucił Hickock z gniewem.

— Tego nie powiedziałbym — uśmiechnął się Król Granicy. — Możliwe, że rozbiłby mi głowę swym potężnym tomahawkiem bez żadnych skrępowań, twierdząc jednak, że olbrzym nie miał żadnej łączności z resztą Indian.

— Dobrze, Buffalo — rzekł Dzik Bill. — Zdarzało się niejednokrotnie, że mieliśmy w jakiejś sprawie różny pogląd i często okazywało się, że twój pogląd jest słuszny. W tym jednak wypadku, to, co mówisz, jest wprost nie do wiary. Przecież Czerwonoskórzy zjawili się natychmiast, gdy Kolos Indyjski wydał swój dziwny okrzyk.

— Możliwe, że ty masz słusność. Hickock, — rzekł Cody — w każdym razie Kolos Indyjski kryje jakąś tajemnicę, którą bardzo chciałbym rozwiązać. Zostaniemy tu tak długo, póki go znów nie napotkamy, zobaczymy wtedy, czy jego pojawienie się w okolicy ma jakiś związek z inwazją plemion Indyjskich na skolonizowane tereny.

— Cóż mamy więc czynić? — spytał z niecierpliwością Dzik Bill, którego twarz rozjaśniła się na myśl o czekającej go przygodzie.

— Narazie musimy rozejrzeć się po okolicy — odparł Buffalo Bill. — Wiem, że Indianie zaatakowali już kilka osiedli. Ta grupa, która mnie napadła na łodzi, to prawdopodobnie niewielka część ogólnej siły Czerwonoskórych. Obóz Indian musi znajdować się w pobliżu, po tej stronie jeziora. Musimy go odnaleźć i uważnie obserwować poruszenia dzikich. —

Propeccija ta podobała się Billowi Hickockowi, który gorąco przytakiwał słowom Cody'ego. Tymczasem Król Granicy nakreślił pokrótce plan działania:

— Zakradniemy się jaknajbliżej ich obozu, ocenimy ich liczebność i jakość uzbrojenia, a przy sposobności przekonamy się, czy olbrzym znajduje się wśród nich. —

— Oczywiście, wyruszamy natychmiast! — zawołał Dzik Bill.

— Musimy poczekać do nocy — powstrzymał przyjaciela Król Prerii. — Nie zechcesz chyba sam wleźć im w ręce... Warto by jednak ostrożnie przetrząsnąć już teraz najbliższą okolicę. W drogę, przyjacielu..

Cody ruszył przodem i niebawem wprzedał znacznie swego towarzysza, który przetrząsał wszystkie krzaki i zarośla w promieniu kilkudziesięciu metrów. Buffalo Bill kroczył ostrożnie, dzierżąc w dłoni gotowy do strzału rewolwer. Po pewnym czasie wywiadowca zauważył świeży ślad konia i człowieka. Drobne gałązki i odarte igliwie świadczyło, że jakiś jeździec przedzierał się przez gąszcz.

Cody sądził, że natrafił na świeży ślad Indianina, gdyż nie przypuszczał, że napotka w tej niebezpiecznej okolicy samotnego białego człowieka.

Ślady stawały się coraz wyraźniejsze, tak, że Buffalo Bill posuwał się coraz ostrożniej naprzód, przeczuwając, że lada chwila natknie się na Czerwonoskórego. Wreszcie ślad urwał się obok wielkiego pnia. Za drzewem był ukryty tajemniczy nieznajomy. Król Granicy posuwał się teraz krok za krokiem, z palcem na cynglu rewolweru.

Nagle Cody usłyszał głos, którego brzmienie sprawiło mu miłą niespodziankę. Głos ten, o tak znajomym brzmieniu i charakterystycznym akcentcie, nie mógł wprowadzić w błąd Buffalo Billa. Z zapału rozległy się słowa:

— Do stu piorunów! Jeżeli jakiś czerwonoskóry diabeł chce dobrać się do mojego starego skalpu, to Nick pokaże mu, jak się strzela z bliskiej odległości... —

Buffalo Bill był teraz zupełnie pewny — za drzewem ukrywał się stary Nick Wharton.

Diana wyczuwa Czerwonoskórych

Król Granicy okrążył drzewo i stanął przed zdumionym starcem, który oczekiwał nadejścia domniemanego wroga z bronią gotową do strzału.

— Do pioruna! — zawołał Cody. — Widzę, że chcesz poczęstować mnie niezłą porcją ołowiu. Przyznam się zresztą, że i ja miałem ten sam zamiar w stosunku do ciebie...

— Wcale nie miałem zamiaru strzelać — odparł stary traper. — Wystarczyłoby, abym schwycił napastnika w te oto kleszcze! — To rzekłszy, Nick Wharton wyciągnął przed siebie swe potężne, żylaste ręce.

Stary wywiadowca miał się czym chwalić. Życie na świeżym powietrzu wśród ciągłych trudów i niebezpieczeństw, zmieniło go w kłębek mięśni i sprawiło, że Nick Wharton odznaczał się zdrowiem i sprężystością dwudziestolatka. Przeciętny mężczyzna w jego wieku byłby już zgrzybiałym starcem, lecz Nick, mimo swych siwych włosów, zęby miał jak wilk i trzymał się krzepko na nogach, jak stary dąb.

— Przysięgam na ogon mojej klaczy, że wziąłem cię początkowo za Indianina — rzekł Nick. — Rozpoznałem cię dopiero, gdy stałeś tuż obok drzewa. A wiesz po czym cię poznałem, przyjacielu?

— Nie mam pojęcia... — odparł Buffalo Bill uradowany ze spotkania ze starym towarzyszem swych wypraw.

— Przekonałem się, że to ty — ciągnął Nick, — gdy ujrzałem brzeg twego kapelusza. Odrązu poznałem twoje sombrero. Nie mogłem przecież przypuszczać, że pożyczyles kapelusz jakiemuś Czerwonoskóremu. —

— Jakim cudem znalazłeś się w tej okolicy? — spytał Cody.

— Przyjechałem poprostu na grzbiecie mojej starej Diany... —

— Pocziwe zwierze, — rzekł Buffalo Bill. — Gdy widziałem ją ostatni raz, sądziłem, że nie przeżyje roku, a teraz widzę, że trzyma się jeszcze dzielnie!

— Pst!... — zawołał Nick Wharton z komicznym przerażeniem. — Nie mów tego głośno przy niej. Wiesz przecież, jak wrażliwe są kobiety, gdy się mówi o ich wieku!... Co zaś do jej wieku, to

mogę ci, jako staremu przyjacielowi, wyjawić w tajemnicy, że gdy otrzymałem ją trzydzieści lat temu od mojego wujka nieboszczyka, miała już... dwadzieścia lat. Ale nie mówmy o tym głośno, bo Diana może stracić apetyt...

Naiwny humor Nicka pobudził Buffalo Billa do śmiechu. Stary traper zachęcony dobrym usposobieniem przyjaciela, mówił dalej:

— Wiesz, Diana jest jedyną przedstawicielką końskiego rodzaju, która potrafi galopować równie dobrze do tyłu, jak i do przodu! Nigdy nie widziałeś chyba mojej Diany, galopującej do tyłu...

— Opowiem ci, jak to raz było. Jeśli będziesz miał jakieś wątpliwości, gotów jestem przysiąc, że wszystko co powiem, od początku do końca, jest najczystsza prawda. Było to przed kilku laty, w kwietniu, lecz nie pierwszego, choć nie mogę zresztą na to przysiąc. A więc Diana wspięła się tego dnia na stromy pagórek i zamierzała właśnie zejść z niego po drugiej stronie, gdy nagle u podnóża ujrzała wielkiego niedźwiedzia... Rozumiesz chyba, że końska zlekła się śmiertelnie. Nie straciła jednak rezonu. Nie wiele myśląc ruszyła pełnym galopem do tyłu i oczywiście umknęła strasznej bestii. Nie wierzysz?

Buffalo Bill uśmieł się serdecznie z gadaniny staro Nicka. Tymczasem nieopodal rzęknął się trzask łamanych gałązek i po chwili ukazał się Dzik Bill z rewolwerem w dłoni.

— Oto i Hickock! — zawołał Nick Wharton. — Znów jesteśmy w komplecie! Ale co to były za strzały, które słyszałem niedawno na jeziorze?

— To była mała wymiana grzeczności między mną, a Indianami — odparł Cody. — Jak wiesz, mają oni brzydki zwyczaj atakowania każdego napotkanego po drodze białego. Dałem im jednak solidną odprawę...

— Ilu ich było? — rzeczowo zapytał Nick.

— Na oko około dwudziestu — odparł Buffalo Bill. — Ale powiedz mi, Nick, czy nie spostrzegłeś nigdzie w okolicy żadnych śladów Czerwonoskórych? Czy nie widziałeś nigdzie w pobliżu ich obozowisk?

— Lasy są pełne Indian — odparł Nick Wharton. — Aż się od nich roi. Nie widziałem ich tyłu na raz od czasu wielkiej rozprawy w Minnesota, w roku 64. To były czasy! Indian było więcej niż drzew, to znaczy, że brakło drzew i biedni Czerwonoskórzy nie mieli się gdzie chować przed nami!... To była walka!...

— Daj teraz spokój wspomnieniom, Nick. — przerwał Cody. — Od kiedy jesteś w tej okolicy?

Nick odpowiedział, starannie poprawiając siodło:

— Przybyłem tu wczoraj wieczorem. Myślałem, że zmarznę na kość, bo ogniska oczywiście nie rozpałiłem, nie chcąc ściągnąć sobie na głowę czerwonych diabłów.

— Istotnie, noc była zimna — rzucił Cody. — Przypuszczam, że Czerwonoskórzy mają w okolicy jakiś obóz, w którym ześrodkowali swe siły. Czy wiesz coś o tym?

— Oczywiście — odparł Nick Wharton. — Główny obóz Indian znajduje się w odległości trzech do czterech mil od jeziora.

— A czy wiesz, co Czerwonoskórzy zamierzają? — pytał dalej Buffalo Bill.

— Wiem nawet, co już zrobili — rzekł Nick. —

Dokonali już kilku napadów na osiedla, zburzyli wiele domów i wzięli wielu jeńców. Czy sądziś, że stary Nick z Dianą do spółki nie potrafią zebrać odpowiednich informacji?

Twarz starca zapłonęła oburzeniem, gdy mówił o bestialstwach, popełnionych przez Indian. Odezwała się w nim krew bohatera Dalekiego Zachodu.

— Gdy leje się krew białych osadników — ciągnął dalej starzec — gdzie jest miejsce starego Nicka i jego wiernej Diany, jeśli nie na polu walki?

Buffalo Bill i Hickock z uznaniem przyjęli te słowa, podziwiając w duchu młodzieńczy zapał starca.

Zagadnięty o Kolosa Indyjskiego, Nick Wharton nie umiał dać żadnych wyjaśnień. Nie widział go nigdy i nie wiedział, czy stoi on po stronie czerwonych rabusiów, czy też należy do plemienia, które zakopało topór wojenny.

Nagle Nick zwrócił baczną uwagę na swoją klacz. Znał on dobrze starą Dianę i nie uszło jego uwadze jej dziwne zaniepokojenie. Wreszcie Nick Wharton oświadczył uroczyście:

— Diana poczuła Indian! Zaczyna się zabawa!...

Jeńcy

Buffalo Bill ani na chwilę nie zapomniał o tajemnicy, otaczającej osobę czerwonoskórego olbrzyma; na razie jednak czekały go sprawy bardziej palące. Należało przede wszystkim dokładnie zbadać obóz Indian i dowiedzieć się czegoś bliższego o jeńcach, o których wspominał Nick Wharton.

Uwolnienie jeńców z rąk Czerwonoskórych było najpilniejszym, a jednocześnie najtrudniejszym zadaniem wywiadowców. Zadania tego nie mógłby się podjąć najsilniejszy bodaj oddział regularnego wojska — mogli je wypełnić tylko wywiadowcy.

Gdy stara Diana poczuła Indian, Buffalo Bill zwrócił się do swych przyjaciół:

— Udam się teraz na mały wywiad w terenie. Odnajdziemy się o zachodzie słońca, możliwie w tym samym miejscu, gdzie teraz jesteśmy. Zgadza się?

— Zgoda! — rzekł Dzik Bill, a Nick Wharton skinął twierdząco głową.

— Teraz musimy działać każdy na własną rękę — ciągnął dalej Cody. — Zaczniemy współdziałać, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

W tej chwili coś świsnęło w powietrzu, tuż koło ucha staro Nicka, i pierzasta strzała utkwiała w pniu drzewa, otarłszy się prawie o kapelusz staro traper. Nick Wharton natychmiast ukrył się za pnem, spodziewając się widocznie dalszych strzał, lecz minęła dłuższa chwila i nic nie zakłóciło spokoju.

Buffalo Bill przystąpił do pnia i wyciągnął tkwiącą w nim strzałę. Pamiętał on, że Indianie, którzy zaatakowali go na łodzi, byli uzbrojeni w karabiny. Możliwe, że w okolicy znajdowały się również oddziały uzbrojone w łuki, dlatego jednak dziwny napastnik wypuścił jedną tylko strzałę i do tego chybił? Zastanowiło to wywiadowcę.

Rozmyślając nad tym dziwnym wydarzeniem, Cody obejrzał dokładnie strzałę i nagle wydał okrzyk zdumienia — dookoła drzewca owinięty był niewielki skrawek papieru, starannie przymocowany do strzały.

Król Granicy ostrożnie odwinął papierek, na którym dojrzał kilka linijek pisma. Cody odczytał na głos treść:

„Czterech białych znajduje się w ręku Indian, którzy obozują w odległości około mili w kierunku wschodnim od jeziora Alene. Ratujcie ich, gdyż nie mogą spodziewać się litości ze strony Czerwonoskórych!”

Marian Dunlap

Taka była treść tajemniczej kartki. Któż jednak wypuścił strzałę z łuku? Nie mógł to być w żadnym razie Indianin, należący do jednej z band, pustoszących osiedla kolonistów.

Nick Wharton uważnie słuchał, gdy Cody odczytywał kartkę. Wreszcie zawołał:

— Dunlap! Do studwudziesiętu tysięcy piorunów!...

— Skąd znasz to nazwisko? — zapytał Buffalo Bill.

— Rodzinę Dunlap spotkałem po drodze wraz z grupą kolonistów, którzy dążyli do najbliższego fortu, aby znaleźć tam schronienie przed Indianami. Natknąłem się na obóz kolonistów w okolicy Kewer-Delane River. Chciałem z nimi pozostać, aby im pomóc w potrzebie, lecz skierowali mnie dalej, gdyż jak twierdzili, nie potrzebują pomocy. Powiedzieli mi, że nad jeziorem będę miał więcej roboty. A teraz taka historia!... Wpadli wszyscy w ręce tych czerwonoskórych diabłów. Co za szkoda! Zwłaszcza żal mi Marian, to taka miła i piękna dziewczyna.

Wywiadowcy wiedzieli teraz dokładnie, gdzie znajduje się obóz Indian i gdzie należy szukać jeńców.

— Jedno jest pewne — rzekł Cody. — Biali jeńcy mają przyjaciela w obozie Czerwonoskórych. Ten tajemniczy sprzymierzeniec białych podjął się misji zawiadomienia nas o tym, że wpadli oni w ręce dzikich.

— To jasne, — zgodził się Dzik Bill. — Ale ten zagadkowy przyjaciel musiał wiedzieć o naszej obecności w okolicy jeziora. Sądzę, że widział nas, gdyśmy byli na otwartej przestrzeni, na środku jeziora. Inaczej nie mógłby do nas od razu trafić.

— To możliwe — rzekł Cody w zamyśleniu. — Nie wolno nam jednak tracić czasu. Musimy rozpocząć obserwację obozu Indian i znaleźć wigwam, w którym trzymają oni jeńców.

— Czy ruszymy przed zachodem słońca? — zapytał Bill Hickock.

— Możemy wyruszyć natychmiast — rzekł Cody. — Życie jeńców jest w poważnym niebezpieczeństwie, a każda stracona godzina zwiększa to niebezpieczeństwo. Musimy już rozpocząć działanie.

Dzień miał się już ku schyłkowi. Wiatr, który rankiem muskał ledwie czubki drzew, zerwał się teraz z wielką siłą, pędząc po ogromnej powierzchni zamrzłego jeziora kłęby śnieżnego pyłu. Zanosilo się na mroźną i wietrzną noc.

Temperatura spadała gwałtownie, co wcale nie uśmiechało się wywiadowcom, których czekała długa noc, podczas której nie wolno im będzie rozpalać ognia.

Ekwipunek Cody'ego i Billa Hickocka był skromny. Pozostawili oni swoje konie w odległości kilkunastu mil od jeziora, przeczuwając, że będą one raczej zaważą, niż pomogą. Zabrali ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy i broń.

Nick Wharton nie mógł rozstać się ze swoją Klaczą i przyprowadził ją aż nad jezioro. Diana była jakby dopełnieniem swego pana i dlatego stary, Nick gotów był zabrać ją ze sobą nawet na zwiady.

— Zbadamy teraz ślady! — rzekł Buffalo Bill. — Jeżeli ów tajemniczy posłaniec wyruszył z obozu, w którym uwięzieni są jeńcy, to nie pozostaje nic prostszego, jak iść jego śladem do punktu wyjścia.

Nick Wharton zachowywał się dziwnie spokojnie i poważnie. Wyciągnął ze swojej torby kawałek suszonego mięsa i zaczął go żuć w swych potężnych szczękach. Pochwili spojrzał na Buffalo Billa i rzekł:

— Czy sądzisz, że wszyscy Indianie to skończone osły? Czy myślisz, że można ich zawsze wyprowadzić w pole?

Cody uśmiechnął się i odparł:

— Ale skądże! Wiesz przecież, że zawsze doceniałem przebiegłość i spryt czerwonoskórych wojowników!...

To rzekłszy, Buffalo Bill zagłębił się powoli w las, szukając uważnie śladów tajemniczego wysłannika.

— Czy wiesz — zwrócił się stary Nick do Dzikiego Billa, patrząc za oddalającym się Królem Granicy, — że Czerwonoskórzy to diabelnie chytne bestie?

— Wiem — odparł Bill Hickock, — ale czemu mnie o to pytasz?

— Diana zwęszyła Indian jeszcze zanim strzała świsnęła mi koło ucha. To zwierzę ma węch tak pewny, jak najczulszy pies. Ten, kto wypuści strzałę z łuku jest więc na pewno Czerwonoskórym. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że nasz przyjaciel Buffalo Bill podąża śladem przynęty na dwóch nogach. Wiesz o co mi chodzi?

Dzik Bill Hickock zwrócił na starego przyjaciela zdumione spojrzenie. Nie rozumiał, co Nick miał na myśli.

Tymczasem Buffalo Bill znalazł ślad owej, zdanem Nicka Whartona, „przynęty na dwu nogach” i z wolna posuwał się naprzód.

Tajemniczy ślad

Buffalo Bill bez wielkiego wysiłku odnalazł miejsce, skąd wypuszczona została strzała. Las był w tej okolicy tak gęsty, że tajemniczy wysłannik mógł ukryć się w bezpośrednim sąsiedztwie wywiadowców.

Dlaczego jednak wybrał on tak dziwny sposób zawiadomienia Codyego i towarzyszy o losie białych jeńców? Dlaczego ukrywał się tak starannie, skoro był przyjacielem białych?

Zagadnienie to pasjonowało wywiadowcę, który posuwał się po świeżym śladzie nieznanego. Buffalo Bill czuł, że musi rozwiązać tę zagadkę.

Ślad mimo że świeży, był nie bardzo wyraźny. Tajemniczy posłaniec usiłował go widocznie zatrzeć, co również było niespodzianką dla Codyego. W miarę oddalania się wywiadowcy od towarzyszy, ślad stawał się wyraźniejszy. Wreszcie Buffalo Bill spostrzegł ze zdumieniem, że trop jakby się podwoił. Wyglądało to tak, jakby dwóch ludzi posuwało się tędy, jeden za drugim.

Niewyraźne odciski stóp znajdowały się w dość dużej odległości jeden od drugiego tak, jakby przechodził tędy człowiek o niezwykle długich nogach.

Cody postępował w dalszym ciągu za śladem, który stawał się dla niego coraz mniej zrozumiały. Nie mógł teraz stwierdzić z całą pewnością, czy tropi jednego człowieka, czy też dwóch ludzi.

Wywiadowca zatrzymał się na chwilę, niezdecydowanie rozglądając się dokoła. Pomyślał, że dobrze byłoby mieć obok siebie kogoś z przyjaciół i wspólnie poradzić się nad sytuacją.

Wreszcie zdecydował się w dalszym ciągu dążyć za tajemniczym śladem. Cokolwiek mogło się stać, miał nadzieję, że uda mu się rozwiązać dziwną zagadkę. Posuwał się więc naprzód nie bacząc na coraz silniejszy wiatr, który dał mu prosto w twarz, zasypując oczy śnieżnym pyłem.

Posuwał się w głąb lasu, oddalając się coraz bardziej od jeziora, prawdopodobnie w kierunku Indian, lub do jakiegoś punktu, gdzie miał nadzieję napotkać posłańca białych jeńców.

Buffalo Bill z niecierpliwością oczekiwał zapadnięcia zmroku, który ukryłby go przed oczami Czerwonoskórych. Wiedział, że niebezpieczeństwo jest wielkie, lecz wiedział również, że uratowanie jeńców jest jego obowiązkiem.

Po półgodzinnym marszu Cody zauważył, że ślad stał się znów mniej wyraźny, a wreszcie zanikł prawie zupełnie pośród całego szeregu innych tropów, zupełnie świeżych, które się z nim krzyżowały. Mogło to świadczyć o tym, że wywiadowca znajdował się w pobliżu obozu Indian.

Należało teraz podwoić czujność i posuwać się niemal bezszelestnie. Wkrótce do uszu Króla Prerii doszły odgłosy życia obozowego. Początkowo Cody słyszał niewyraźny i daleki gwar, a potem, gdy zbliżył się jeszcze bardziej, mógł dość wyraźnie rozróżnić gardłowe nawoływania wojowników i odgłosy rozmów.

Nadeszła najtrudniejsza część przedsięwzięcia. Buffalo Bill położył się na ziemi i ostrożnie posuwał się naprzód, pełzając na czworakach, na sposób indyjski.

Wkrótce Cody poczuł zapach dymu i dostrzegł słaby odblask, który zaróżowił wierzchołki drzew. Był już w pobliżu obozowiska. Niebawem zaczął odróżniać sylwetki ludzkie i przekonał się, że Indian było bardzo wielu.

Posunął się jeszcze kilkanaście metrów na czworakach i zaczął się rozglądać za jakimś schronieniem. W pobliżu obozu rosła potężna sosna, której gałęzie mogły stanowić doskonałe schronienie dla wywiadowcy. Nie namyślał się długo — podpełznął do pnia i szybko wdrapał się na drzewo od strony przeciwnej, w której znajdował się obóz wroga.

Buffalo Bill mógł teraz dokładnie obserwować wszelkie poruszenia nieprzyjaciela, nie będąc przez niego widzianym. Kryjówka Króla Granicy miała jednak tę niedogodność, że wywiadowca był wystawiony na ostre podmuchy mroźnego wiatru, który hulał bez przeszkód wśród gałęzi drzew. Ulokował się jednak wygodnie w szerokim rozwidleniu konarów i zaczął obserwować poruszenia Czerwonoskórych, którzy przechodzili obok ogniska i włóczyli się po obozie.

Dokoła ogniska zebrał się wojownicy, którzy pragnęli się nieco ogrzać. Wywiadowca zazdrościł im serdecznie, bo sam przemarzył do szpiku kości. Indian było około pięćdziesięciu, lecz Cody był pewny, że w niewielkiej odległości znajdują się podobne ogniska i liczni wojownicy.

Po ogólnej ocenie sytuacji, dowódca wywiadowców zaczął z wysokości swego punktu obserwacyjnego szukać śladu jeńców.

W pewnej odległości od ogniska widniała jakaś grupa ludzi, której Buffalo Bill nie mógł dokładnie odróżnić. Było ciemno, a słaby blask ogniska nie oświetlał dostatecznie tych ludzi. Cody dostrzegł jednak, że grupa ta strzeżona jest przez kilku uzbrojonych wojowników — nie ulegało więc wątpliwości, że wywiadowca miał przed sobą jeńców.

Buffalo Bill zaczął się zastanawiać nad planem działania. Nie mógł on sam wyrwać białych ze szponów Indian, a każda chwila była droga. Nie wiadomo było, co Czerwonoskórzy zamierzają uczynić z jeńcami, a ton listu Marian Dunlap był alarmujący.

— Sam nic nie poradzę — pomyślał Cody. — Muszę się porozumieć z Dzikim Billem i starym Nickiem. We trójkę uda nam się może wypełnić zadanie. Dwóch będzie strzelać, a trzeci spróbuje zaatakować eskortę więźniów... Zobaczymy. A zresztą, może popróbuję sam. POCO mam narażać meich przyjaciół... Zresztą, siła tu nie pomoże — trzeba działać przy pomocy wybiegów...

Buffalo Bill nie miał narazie żadnego określonego planu, zdecydował jednak, że należy opuścić kryjówkę i zakraść się pod obóz od strony, gdzie przebywali jeńcy.

Wywiadowca zaczął ostrożnie zsuwać się z pnia. Nagle gałąź, której się trzymał wyslizgnęła się z jego przemarzłych dłoni. Cody chwycił się kurtkowsko następczej gałęzi, lecz ta zlamana się z traskiem i nasz bohater runął z drzewa wprost na ramiona wojownika, który właśnie przechodził pod sosną.

Potyczka

Gdy człowiek spada z drzewa, zaczepiając się o gałęzie i przewidując rychłe zetknięcie się z ziemią, przez głowę jego przebiegają myśli, jak błyskawice.

Siedząc na drzewie Buffalo Bill nie miał jeszcze przygotowanego żadnego planu działania; teraz dopiero, w ciągu tych kilku sekund, podczas których znajdował się w powietrzu, obmyślił dokładnie plan oswobodzenia więźniów. Plan ten zaczął Cody wypełniać zanim jeszcze dotknął ziemi.

Czerwonoskóry, któremu nagle z nieba spadł na plecy jakiś dziwny ciężar, wydał okrzyk zdumienia, lecz Buffalo Bill nie pozwolił mu na objawienie dalszych oznak zdziwienia. Wojownik uczuł z przerażeniem, że jakieś stalowe kleszcze zaciskają się dokoła jego szyi i dławią głos w krtań... Król Granicy nie pozwolił Indianinowi na wykonanie żadnego ruchu. Palce jego zaciskały się coraz mocniej na szyi wojownika, aż wreszcie Czerwonoskóry stracił przytomność. Cody skrepił go mocno paskiem i zakneblował mu usta, a potem ukrył wojownika pod rozłożystym krzakiem.

Trzeba teraz było działać szybko i pewnie. Buffalo Bill odbezpieczył swe dwa sześciostrzałowe rewolwery i pewnie ruszył naprzód.

Jednym skokiem znalazł się tuż przy ognisku. Nie czekając ani chwili skierował w stronę zebranych przy ognisku wojowników lufy swych dwóch rewolwerów i grad ołowiu padł na przerażonych

Indian. Rzucili się oni na wszystkie strony, szukając ratunku przed nagłym atakiem. Buffalo Bill wydał przenikliwy okrzyk, który powtórzony przez echo leśne, wzbudził w Czerwonoskórych przekonanie, że zostali zaatakowani przez większą grupę ludzi.

Cody nie czekał, aż to złudzenie Indian się rozwieje. Błyskawicznie zmienił magazyny w swych rewolwerach i znów zasypał nieprzyjaciół gradem pocisków. Oszałeli z trwogi Indianie rzucili się do panicznej ucieczki.

Był to niezwykle widok, jak kilkudziesięciu wojowników uciekało przed jednym człowiekiem.

Gdy tylko Indianie wycofali się z pola bitwy, Cody natychmiast podbiegł do jeńców. W ciągu kilkunastu sekund oswobodził ich z więzów, a jednocześnie przekonał się, że było ich czworo — dwie kobiety, młody, szesnastoletni może, chłopiec oraz małeńka, pięcioletnia najwyżej dziewczynka o złotych włosach.

— Za mną! — rzucił Cody. — Jesteście wolni, ale teraz wszystko zależy od szybkości, z jaką będziemy się posuwali! Naprzód biegiem!... Dziecko ja wezmę na rękę...

Jedna z kobiet zamierzała coś powiedzieć, lecz Cody powstrzymał ją ruchem dłoni:

— Proszę nie mówić — rzekł — czeka nas długa i męcząca droga. Nie wolno męczyć płuc!... Prędko... ja będę osłaniał odwrot!...

Starsza kobieta podała Buffalowi Billowi dziecko, które z ufnością wyciągnęło do niego rączki. Cody z rewolwerem w wolnej dłoni kręcił szybko, zachęcając resztę do pośpiechu. Wiedział on dobrze, że Czerwonoskórzy szybko zorientują się w sytuacji i wyruszą w pościg. Należało więc nie tracić ani chwili, póki Indianie nie rozpoczną pościgu.

Uciekinierzy trzymali się dzielnie. Widać było, że wszyscy są przyzwyczajeni do długich i szybkich marszów i do twardego życia na prerii. Nasza gromadka posuwała się więc rażno naprzód, mimo że droga przez las była dość uciążliwa.

Po pewnym czasie Buffalo Bill zauważył jednak, że starsza z kobiet jest mocno wyczerpana pochodem i zaczyna zostawać z tyłu. Wywiadowca zatrzymał więc pochód i zwrócił się do kobiety:

— Musi pani wypocząć kilka chwil. Mamy przed sobą jeszcze bardzo daleką drogę!

Gromadka zatrzymała się, a starsza kobieta, prawdopodobnie matka pozostałej trójki, oparła się ze znużenia o pień drzewa. Buffalo Bill ostrożnie ustawił małą dziewczynkę na ziemi. Dziecko natychmiast podbiegło do matki i stanęło obok niej.

— Czy jesteście tu bezpieczni? — spytała kobieta wywiadowcę.

— Nie możemy być bezpieczni przed tym, zanim nie znajdziemy się w odległości conajmniej dziesięciu mil od obozowiska Czerwonoskórych. Musimy tu jednak nieco wypocząć, aby móc odbyć resztę drogi.

— Gdzie są pańscy towarzysze? — spytała młoda dziewczyna. — Przypuszczam, że w tej okolicy musi znajdować się większy oddział białych...

— Mam tylko dwóch towarzyszy, których powinniśmy lada chwila napotkać — odparł Buffalo Bill.

— Więc nie było z panem nikogo, gdy za-

atakował pan Czerwonoskórych? — ze zdziwieniem rzekła dziewczyna.

— Nie — odparł Cody — byłem zupełnie sam.

— Więc przeprowadził pan atak i uwolnił nas pan bez żadnej pomocy?

— Tak...

Czwórka uwolnionych jeńców z podziwem patrzyła na wyniosłą postać Króla Granicy, który z taką prostotą mówił o swym bohaterskim czynie.

W czasie dalszej rozmowy Cody dowiedział się, że wszyscy uratowani stanowią rodzinę. Starsza kobieta była matką dziewczyny, młodzieńca i małej blondynki. Byli to: pani Dunlap, Marian Dunlap, jej córka, Fred — jej syn i najmłodsza córka Nelly. Ojciec rodziny zginął podczas ostatniego napadu Indian...

Rozmowa była wielokrotnie przerywana, gdyż Buffalo Bill często przeszukiwał okolice w poszukiwaniu ukrytego wroga. Wreszcie uciekinierzy odpoczęli nieco i ruszono w dalszą drogę.

Cody skierował się nad brzeg jeziora, gdzie ujrzał miejsce, jakby stworzone na schronienie. Była to niewielka kotlina, położona tuż nad jeziorem — od strony jeziora nie należało bowiem spodziewać się ataku. Z drugiej strony, chronił kotlinę wysoki brzeg, u stóp którego była ona położona. Tak dogodne schronienie pozwalało również na rozpalenie małego ogniska, co było nieodzowne, gdyż zarówno Dunlapowie jak i Cody byli nawskroś przemarznięci.

Sytuacja była jednak nie do pozazdroszczenia. Sam Buffalo Bill mógłby kryć się przed Indianami w jeszcze gorszych okolicznościach, ale obecnie był w towarzystwie dwu kobiet, niedoświadczonego chłopca i małego dziecka. Cody zrozumiał, że wydarcie jeńców z rąk Czerwonoskórych nie było najtrudniejszym zadaniem. Trudniej było doprowadzić ocalonych do siedzib białych ludzi.

Prawdziwe trudności dopiero się rozpoczęły

Noc nad brzegiem jeziora

Nasza gromadka zatrzymała się więc w owej kotlinie i rozbiła obóz. Cody wcale nie był pewny bezpieczeństwa, to też ciągle sprawdzał, czy w okolicy nie widać śladów Czerwonoskórych. Las był jednak zupełnie spokojny. Nie słyhać było żadnych odgłosów pogoni. Zdziwiło to Buffalo Billa, który nie spodziewał się, że Indianie zaniechają wszelkich poszukiwań.

Cody nie triumfował jednak. Wiedział, że dżicy uważali jego nagły atak za wystąpienie większej grupy ludzi i że napewno w krótkim czasie wpadną na trop uciekinierów. Buffalo udał się po pewnym czasie na miejsce, gdzie miał spotkać się z Dzikim Billem i Nickiem Whartonem — nie zastał ich tam jednak. Możliwe, że ruszyli w stronę obozu Indian, aby go odszukać i pomóc mu w potrzebie.

Podczas przygotowania obozowiska i przeszukiwania okolicy młody Frank Dunlap był bardzo pomocny Codyemu. Wywiadowca przekonał się, że Frank był dzielny i inteligentny chłopcem. Nie mówił on wiele od czasu opuszczenia obozu Indian, lecz w jego młodzieńczych oczach można było wyczytać podziw dla wielkiego Buffalo Billa. Chłopiec żywo pamiętał straszne sceny walk z Czerwonoskórymi i śmierć swego ojca, nie więc

dziwnego, że płał chęcią pomszczenia tej krzywdy. Był on już dorosłym mężczyzną mimo młodego wieku. Życie na prerii zahartowało jego ciało i ducha. Stosując się do wskazówek Cody'ego, młodzieniec nagromadził dużą ilość gałęzi sosnowych i osłonił kryjówkę przed mroźnym wichrem, wiejącym z nad jeziora. Frank przygotował również zapas drzewa w celu rozpalenia ogniska.

Był już najwyższy czas, gdyż mała Nelly zaczęła płakać z zimna. Niebawem w obozowisku zapłonęło niewielkie ognisko, przy którym uciekinierzy ogrzali swe zziębnięte członki.

Gdy wszyscy zebrali się przy ognisku, Frank Dunlap zwrócił się do Buffalo Billa:

— Co sądzi pan o naszej sytuacji, Cody?

— Położenie nasze nie należy do najmiłszych — odparł wywiadowca. — Znajdujemy się sami w dzikiej okolicy, w której roi się od Indian.

— Co mamy więc zrobić? — spytał młodzieniec.

— Narazie musimy się dobrze kryć, a potem może uda nam się przedostać do okolic zamieszkałych przez białych. W każdym razie musimy się przygotować do obrony!

— Ach! Gdybym miał karabin... — westchnął Frank. — Strzelam zupełnie dobrze i napewno nie sprawiłbym zawodu podczas walki!...

— Niestety, nie posiadam zapasowej broni — rzekł Cody — ale oto mój nóż, myślę, że ci się przyda, młodzieńcze. Jeżeli przetrwamy tę noc, będziemy uratowani. Rankiem łatwiej nam będzie oddalić się stąd. Musimy więc teraz czuwać!...

— Mówił pan, że oczekuje pan swych dwóch przyjaciół. Gdzież mogą oni się znajdować? — spytał chłopiec. — Czy są tu w okolicy?

— Tak przypuszczam — odparł Buffalo Bill. — Powinni znajdować się w pobliżu jeziora. Sądzę, że spotkamy ich rankiem.

— Jak nazywają się pańscy towarzysze? Czy są również wywiadowcami, tak jak pan? pytał dalej Frank.

— Oczywiście! — rzekł Cody. — Jeden z nich to Dzikie Bill Hickock, drugim jest stary traper, myśliwiec i pogromca Indian, Nick Wharton!...

— Nick Wharton — zawołał młodzieniec. — Widziałem go... Przybył on do naszego obozu i ofiarował nam swe usługi. Ojciec podziękował mu jednak, sądząc, że ten staruszek będzie nam tylko zawadzał w drodze. Więc on jest pańskim towarzyszem? Czy ten starzec potrafi jeszcze walczyć?

— Ojciec twój nie poznał się na wartości starego Nicka. Wiedz, chłopcze, że Nick Wharton to postrach Indian!... Jego sposób wysławiania się jest może nieco dziwny, lecz karabin jego przemawia całkiem serio. — Każde „słowo“ to wyrok śmierci na nieprzyjaciela!...

— Nigdy nie przypuszczałbym! — rzekł młodzieniec. — Przecież to najkomicniejsza figura, jaką kiedykolwiek widziałem!...

— Możliwe — odparł poważnie Cody — starzec ten posiada jednak odwagę i siłę lwa.

A któż to jest Dzikie Bill? — zapytał znów Frank.

— To dzielny wywiadowca — rzekł Buffalo Bill — choć czasem może zbyt porywczy. Jest to niezrównany mistrz w strzelaniu z rewolweru. Nie dorówna mu w tej sztuce nikt na całym Zachodzie.

— I ja chciałbym zostać wywiadowcą! — zawołał gorąco młodzieniec. — Jeżeli wydobędziemy się cało z tej opresji, zostanę napewno pańskim uczniem, zgoda?

— Zgoda — rzekł Cody z uśmiechem. — Sądzę, że mi nie sprawisz zawodu!...

Tymczasem zapadła głęboka noc. Była to noc tym straszniejsza, że w każdej chwili mogło z niewiadomego kierunku nadejść niebezpieczeństwo. Każdy cień, każdy podmuch wiatru lub szelest gałązki wydawały się oznakami zbliżającego się wroga.

Pani Dunlap i Marian siedziały przy ognisku, wsłuchując się w wycie wichru nad jeziorem. Twarze ich były poważne i zatroskane. Mała Nelly, ciepło otulona, była pogrążona w głębokim śnie.

— Jeszcze jedna sprawa, Dunlap... — zwrócił się Buffalo Bill do chłopca. — Otrzymałem w bardzo zagadkowy sposób list od panny Marian, w którym było opisane wasze położenie. Przez kogo został wysłany ten list?

— Przez Kolosa Indyjskiego!... — odparł Frank.

— Ach! Więc to on wypuścił tę tajemniczą strzałę i jego ślady zaprowadziły mnie do obozu Indian... Czy możesz mi coś powiedzieć o tym zagadkowym olbrzymie?

— Bardzo niewiele! — odparł Frank. W tej samej chwili Buffalo Bill podniósł dłoń i rzekł:

— Słuchajcie!...

Wśród ciszy nocnej wyraźnie dał się słyszeć odgłos zbliżających się kroków.

Diana na straży

Kroki te, które zmały ciszę nocy, były odgłosem, który towarzyszył zbliżaniu się... starej Diany i jej również starego pana.

Nick Wharton, zanim odnalazł Buffalo Billa, sprawił Indianom przykrą niespodziankę. Gdy opuścił Dzikiego Billa, stary traper udał się również w okolice obozu Czerwonoskórych. Było to już po oswobodzeniu przez Cody'ego rodziny Dunlap. Indianie byli jeszcze przerażeni nagłym napadem i nie odważyli się powrócić do obozu. Wysłali oni na zwiady kilku wojowników, którzy ostrożnie zaczęli się skradać w stronę własnego obozowiska, obawiając się, że atak groźnego przeciwnika może się powtórzyć. Placówki Czerwonoskórych napewno natknęłyby się na Nicka, gdyby nie Diana, stara kłacz.

Pierwsza placówka indyjska była jeszcze dość daleko, gdy Diana „poczuła Indian“.

Jej pan, który doskonale rozumiał niemą mowę swego wierzchowca, zsiadł z siodła i ostrożnie wyruszył naprzeciw zbliżającemu się Indianinowi. Czerwonoskóry był młodym wojownikiem, który rozglądał się dokoła z dość głupią miną. Nick nie musiał zadać sobie wiele trudu, aby go zaskoczyć zniemacka. Wojownik nie zdołał nawet krzyknąć, a już potężna pięść starego Nicka powaliła go na ziemię. Był on tak ogłuszony, że wywiadowca nie miał potrzeby nakładania mu więzów.

Nick zwrócił się teraz do swej kłaczy:

— Diana, „zrób trupa“!

Zwierzę natychmiast zrozumiało swego pana

i po chwili wyciągnęło się na całą długość, wyglądając rzeczywiście, jakby było pozbawione życia.

— Uważaj, stara — mruknął Nick — jak przybędą tu Indianie, wierzgaj i kop, ile tylko sił masz w starych kościach! Wierzgaj na wszystkie strony, mocno i celnie. Rozumiesz?...

Niebawem Nick usłyszał kroki Indianina i czymprędzej skrył się za pobliskim drzewem. Tymczasem zbliżył się wojownik indyjski i ze zdumieniem ujrzał na swej drodze martwego konia. Zaczął się więc przyglądać Dianie ze zdziwioną miną. Wreszcie zauważył, że boki martwego rzekomo zwierzęcia poruszają się w miarowym oddechu. Indianin był coraz bardziej zdumiony, a wreszcie podszedł do leżącej klaczy i dotknął jej dłoń.

Stara Diana tylko na to czekała. Biedny Indianin nie zdażył się zorientować w sytuacji, a już leżał na ziemi, skrecając się z bólu, rażony celnym kopnięciem w żołądek. Wrzaski jego zwabiły jeszcze trzech wojowników, którzy sądzili, że zaczajony w lesie nieprzyjaciel zaatakował ich towarzysza. Nie mogli oni powiazać nagłego ataku na ich współplemieńca, z widokiem nieruchomo leżącego konia, prawdopodobnie martwego. Wijący się z bólu Indianin nie mógł udzielić im żadnych wyjaśnień, gdyż nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa, a zresztą wkrótce zemdał.

Wojownicy byli niepomiernie zdziwieni. Zaniepokojeni się oni swym towarzyszem, a potem zbliżyli się do Diany, aby przyjrzeć się domniemanym zwłokom jakiegoś starego konia, który, ich zdaniem, padł chyba z zimna i głodu.

Jeden z wojowników kopnął nawet z pogardą leżące zwierzę w bok. Było to dla dzielnej klaczy hasłem do walki. Jedno potężne uderzenie twarzych kopyt „staruszki“ powaliło Indianina na ziemię. Dwaj pozostali zostali również uraczeni takimi ciosami, że padli na ziemię obok swego towarzysza, krzycząc z bólu i przerażenia. Diana walczyła, jak szalona.

Tymczasem zbliżył się stary Nick, który przypatrywał się z za drzewa tej dziwnej walce. Na widok swego pana, Diana zerwała się, jak za dotknięciem przewodu elektrycznego. Nick jednym skokiem znalazł się na siodle i przedziłował w galopie przed Indianami, którzy nie zdażyli nawet sięgnąć po broń. Zresztą byli tak poturbowani przez Dianę, że byli zupełnie niezdolni do walki.

Nick Wharton udał się teraz do opuszczonego obozu Indian i z radością zauważył, że nie ma tam ani śladu jeńców, a jest natomiast wiele śladów walki i spustoszeń, dokonanych przez Buffalo Billa. Stary Nick zrozumiał, że Cody znów dokonał jakiegoś niezwykłego czynu. Brak Indian w ich własnym obozie również świadczył o niezwykłych wypadkach, jakich widownią był las przed godziną.

—Pójdę po śladach — zdecydował Nick — i skierował swą majestatyczną klacz w stronę jeziora. Po pewnym czasie dotarł do brzegu jeziora i tu właśnie Cody dosłyszał odgłos kroków Diany.

Znów czerwonoskóry olbrzym

Buffalo Bill i Frank Dunlap nie siedzieli bezczynnie, gdy usłyszeli zbliżające się kroki. Cody

odbezpieczył swój rewolwer, oczekując napastnika, gdy nagle usłyszał znajomy głos:

— Oszczędzajcie prochu, przyjaciele! Stary Nick nie ma zamiaru zginąć z rąk swego towarzysza i sądzę, że Diana też sobie tego nie życzy!

— Witaj, staruszk, zawołał Buffalo Bill, podczas, gdy Frank Dunlap odetchnął z ulgą, gdy zamiast wroga ujrzał starego wywiadowcę.

Nick zsiadł z konia i zbliżył się powoli, prowadząc Dianę za uzdę. Otulił on klacz starannie derką i pozostawił ją na brzegu, gdzie było jeszcze trochę zeszłorocznej, prawie zupełnie suchej, trawy. Diana potrafiła być czym zaspokoić głód.

— Moja przyjaciółka jest bardzo wrażliwa na chłód — wyjaśnił Nick z komiczną powagą. — Zwłaszcza nie znosi zimna podczas posiłków...

— To bardzo interesujące — rzekł Cody, — ale opowiedz lepiej, jak spędziłeś dzisiejszy wieczór?

Nick Wharton opowiedział na swój sposób o swoich przygodach. Opowiadanie jego wzbudziło ogólną wesołość, a Frank Dunlap zapomniał na chwilę o groźnej sytuacji i wybuchnął głośnym śmiechem.

Buffalo Bill zastanowił się nad sytuacją i podzielił się z towarzyszami swymi myślami:

— Nick i ja napotkaliśmy na jeden z licznych oddziałów Czerwonoskórych, grasujących nad jeziorem. Indianie nie zdają sobie sprawy z tego, że jest nas tak mało. Sądzą oni, że mają do czynienia z liczną i groźną siłą. Jest to dla nas szczęście, gdyż nie odważą się nas od razu zaatakować. Po pewnym czasie spostrzegą oni jednak swą pomyłkę, a wtedy będziemy zgubieni.

Musimy dotrzeć na przeciwległy brzeg jeziora, aby dostać się do pierwszej osady białych ludzi. Nie jest to zadanie zbyt łatwe, bo w tym samym kierunku dążą również Indianie.

Nick gryzł swoim zwyczajem kawał suszonego mięsa, lecz nie stracił ani jednego słowa z uwag przyjaciela. Spojrzał w stronę kobiet, które zmęczone usnęły przy ognisku i mruknął:

— Przeprawa nie będzie łatwa, zwłaszcza z tym maleństwem, które nie zniesie tak uciążliwej drogi...

Buffalo Bill zapytał:

— Czy nie jesteś zmęczony, Nick? Może chciałbyś się przespać?

— Nie — odparł Wharton — będę czuwał. Ale tobie i temu młodzińcowi przydałoby się trochę snu. Diana i ja starczymy za najlepszą straż!

— A nie masz żadnych wiadomości o Dzikim Billu? — spytał jeszcze Cody.

— Nie — odparł Nick — mam jednak nadzieję, że wkrótce się z nim spotkamy. Powinien przybyć tu rano.

Wkrótce Buffalo Bill i Frank Dunlap zapadli w sen, a na straży pozostał stary łowca i jego wierzna klacz.

Po pewnym czasie Frank ocknął się. Sytuacja pełna napięcia i grozy nie pozwoliła mu spać, usiadł więc obok starego Nicka i razem z nim pełnił straż. Starzec nie pozostał jednak długo przy ognisku. W pewnej chwili powstał i udał się na brzeg lasu, aby zbadać okolice. Gdy Nick wrócił, chłopiec spytał z zainteresowaniem:

— Czy jest coś nowego?

— Tak — odparł Nick. — Spotkałem znów tego indyjskiego draba. Cóż za dziwne stworzenie! Dał mi jakiś znak, a gdy usiłowałem zbliżyć się do niego, wycofał się szybko i znikł, jak duch. Wiem, że olbrzym nie ma nic wspólnego z resztą tych czerwonoskórych lajdaków, ale absolutnie nie rozumiem jego dziwnego postępowania. Nie mam do niego zaufania! Zdaje się, że ty znasz go, młodzieńcze?

— Tak — rzekł Frank. — Jest on naszym przyjacielem. Przyszedł on do obozu Indian, gdy byliśmy tam uwięzieni. Czerwonoskórzy odnosili się do niego z jakimś dziwnym i pełnym bojaźni szacunkiem. W pewnej chwili moja siostra, Marian, zauważyła, że olbrzym daje nam jakieś znaki. Ponieważ miała wolne ręce, nakreśliła kilka słów na kartce, którą rzuciła w jego stronę. List ten został wam doręczony, jak mówił Cody.

— Tak — rzekł Nick — strzała z listem świsnęła mi przed samym nosem!

— A więc — ciągnął Frank — czerwonskóry olbrzym jest naszym sprzymierzeńcem. Mówi pan, że dawał panu jakieś znaki... To ciekawe.

Nick mruknął coś pod nosem i znów zniknął w ciemności. Minuty jego nieobecności zdawały się Frankowi Dunlapowi wiekami — na nim spoczywał teraz obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem obozu.

Przed sobą widział chłopiec nieprzeniknione ciemności, wśród których połyskiwała od czasu do czasu gładka powierzchnia jeziora. Czarna linia na granicy lodu — to były lasy po przeciwległej stronie lodu.

Nagle wśród nocy zarysował się przed oczami Franka kształt ludzki, olbrzymich rozmiarów — czarniejszy od otaczającej go ciemności.

— To Kolos Indyjski! — pomyślał młodzieniec.

Rzucił się na brzeg, chcąc podążyć za olbrzymem, lecz nagle poczuł na swym ramieniu dłoń, która go powstrzymała. Odwrócił się gwałtownie i napotkał wzrok Cody'ego.

— Nie bądź lekkomyślny, młodzieńcze! — rzekł poważnie Buffalo Bill.

Chłopiec był rozgorączkowany.

— Widziałem Kolosa Indyjskiego! — zawołał — tego, który dał panu list od Marian... to nasz przyjaciel!...

— Tak, to prawda — rzekł spokojnie Cody. — Nie należy jednak wyruszać samemu w noc, mając nóż jako jedyną broń. Do Kolosa Indyjskiego nie możemy mieć absolutnego zaufania. Nie znamy go przecież wcale.

Frank, zawstydzony, bąknął kilka słów usprawiedliwienia, a Cody uśmiechnął się i wręczając mu rewolwer rzekł:

— Idź teraz i spróbuj porozumieć się z olbrzymem. Staraj się nie dotrzeć do niego i dawaj mu znaki, że przybywasz w celach pokojowych. Może będzie chciał z tobą rozmawiać.

Chłopiec, uszczęśliwiony, chwycił broń i zniknął w ciemności. Za nim ostrożnie podążył Król Granicy, nie chcąc płoszyć olbrzyma.

Frank biegł, poślizgując się, po lodzie, a na jego spotkanie zaczął posuwać się Kolos Indyjski, który krążył dokoła na łyżwach. Olbrzym dawał chłopcu znaki ręką, że pragnie z nim rozmawiać.

Buffalo Bill z zacięciem obserwował tę scenę, gdy nagle głośna detonacja rozdarła ciszę.

Nie był to huk karabinu Billa Hickocka — Cody poznał, że strzał pochodził ze starej fuzji Nicka Whartona.

— Zaczęło się! — pomyślał Król Granicy. — Widocznie Czerwonoskórzy poznali swą omyłkę, a teraz zaatakowali starego Nicka w lesie.

Po detonacji nastąpiła długa, ponura cisza, przerywana tylko wyciem wichru.

Nagle w okolicznych lasach rozległ się szereg odgłosów, przypominających krótkie naszczekiwanie — to Indianie nawoływali się swymi hasłami. Zbliżali się oni ze wszystkich stron... Sytuacja była rozpaczliwa.

Pozostawało jedno wyjście: szybki marsz przez jezioro. Frank i jego siostra Marian wyszliby zwycięsko z tej próby, ale co zrobić z panią Dunlap i małą Nelly?

Nick i Dzikie Bill zniknęli. Kto wie, czy nie wpadli w ręce Indian. Na domiar złego Frank Dunlap znajdował się na lodzie wraz z olbrzymem i Indianie mogli mu odciąć drogę do obozu.

Buffalo Bill przygotował się do walki..

Cienie na lodzie

Indianie nie przerywali swych dzikich nawoływań. Tymczasem Cody spostrzegł, że olbrzym skierował się do brzegu, a u jego boku posuwał się niezręcznie, padając co chwila, Frank Dunlap. Cóż to miało oznaczać?

Nagle ktoś położył dłoń na ramieniu Cody'ego i Buffalo usłyszał głos Marian Dunlap:

— Co się stało? Obudziły mnie krzyki Indian. Moja matka i Nelly śpią jeszcze...

— Tym lepiej! — odparł Cody. — Właśnie oczekuję ataku.

— Gdzie jest Frank? — spytała dziewczyna.

— Jest on w towarzystwie olbrzyma, który zawiadomił mnie o waszym losie.

— Frank jest z Kolosem Indyjskim... gdzie?

— Na lodzie. Właśnie zmierzają ku brzegowi, aby ukryć się wśród drzew.

— A gdzie jest Hickock? Czy jeszcze nie wrócił? — spytała Marian.

— Nie — odparł Buffalo Bill. — Nie ma również Nicka Whartona...

— A właśnie, że jest! — rozległ się nagle głos Nicka i niebawem zjawił się on sam, dziwnie zgrzany i ożywiony.

— Nadchodzą! — zawołał. — Poczestowałem ich niezłą porcją ołowiu — niech im pójdzie na zdrowie! Myślą oni nie bez słuszności zresztą, że Buffalo Bill i Nick Wharton nie dadzą się pokonać przez kilkudziesięciu Indian. Te diabły idą na nas pełną parą!...

— Wlazłeś do ich gniazda, stary? — zapytał Cody.

— Nie — odparł Nick — gniazdo Czerwonoskórych wlaźło wprost na mnie. Dobre półtorej minuty było mi nawet trochę gorąco, ale potem wywinąłem im się, zmyliłem ślady i wreszcie udało mi się tu dotrzeć! W każdym razie zaraz tu nadbiegną.

Gdyby nie było tak zimno, można by przedostać się przez lód na drugą stronę, lecz zdaje się, że będziemy musieli tutaj stoczyć z nimi walkę.

— Nick — rzekł Cody — rzucę jeszcze okiem na wybrzeże. Nie oddalaj się stąd pod żadnym pozorem. I jeszcze jedno: nie wiesz nic o Dzikim Billu?...

— Niestety — odparł Nick — nie zdobyłem o nim żadnych informacji. Nie wiem, co mogło się z nim stać...

— Jesteś ranny? — zapytał Buffalo, widząc, że ręka przyjaciela nieco krwawi.

— To drobnostka — wesoło odpowiedział Nick Wharton. — To tylko jedna z ich przeklętych strzał zadrasnęła mnie nieco. Myślę, że nie jest zatruta... Zresztą, przepowiedziano mi niegdyś, że umrę śmiercią naturalną, nie boję się więc ani strzał, ani kul!

Cody miał zamiar wyruszyć właśnie na zwiady, gdy dłoń Marian znów spoczęła na jego ramieniu.

— Czy opuszcza nas pan na długo? — spytała dziewczyna z lękiem w głosie.

— Nie — odparł wywiadowca. — Powrócę niebawem. Proszę się nie lękać...

— Aby pana tylko nic złego nie spotkało... — rzekła Marian.

— Będę ostrożny... — uśmiechnął się wywiadowca.

Gdy Cody znalazł się w lesie, mógł naocznie sprawdzić to, co mówił stary Nick Wharton — okolica rola się od Czerwonoskórych. Zbliżali się oni coraz bardziej do małego obozu białych, nawołując się hasłami.

Wydawało się, że Indianie nie zamierzają od razu przypuścić ataku — widocznie nie zdawali sobie jeszcze sprawy ze szczupłych sił białych.

Cody posuwał się teraz ostrożnie brzegiem lasu, tuż nad jeziorem i bacznie rozglądał się dokoła. W umyśle jego rodziły się tysiączne plany...

— Indianie zaczekają nieco z atakiem — myślał Cody — można więc spróbować im ująć. Co się jednak stanie z Frankiem... ten olbrzym indyjski to przecież zupełna zagadka. Czy można pozostawić chłopca w jego ręku?... Nie ma także żadnych wieści o Billu Hickocku...

Nagle spojrzenie wywiadowcy zatrzymało się na jakichś cieniach, przypominających kształtem postacie ludzkie. Kilka tych postaci oderwało się od brzegu i ruszyło na jezioro...

Niebo było pokryte chmurami, lecz od czasu do czasu światło księżyca przebijało powłokę chmur i skąpo rozjaśniało powierzchnię jeziora. W świetle tym dostrzegł Cody, że ludzie, którzy wylegli z lasu, posuwają się szybko na łyżwach w stronę brzegu, gdzie była kryjówka białych.

Buffalo Billowi przebiegło przez myśl, że może jego oddział wywiadowców wyruszył mu z najbliższego fortu na pomoc, zaniepokojony jego przedłużającym się pobytom nad jeziorem. Gdyby tak było, można by stawić czoło Czerwonoskórym, a nawet rozproszyć ich. Wywiadowca czekał więc z napiętą uwagą na zbliżenie się tajemniczych cieni.

Nagle usłyszał w pobliżu okrzyk, a potem jakiś dziwny loskot na łodzie.

Pomoc nadchodzi

Okrzyk pochodził od Czerwonoskórego; co zaś do loskotu, to czyniła go Diana swymi kopytami.

Indianin wyszedł właśnie z lasu i ujrawszy Buffalo Billa, który był odwrócony do niego tyłem, miał zamiar złożyć się do niego ze swej fuzji.

W pobliżu skubała suche pęczki trawy mądra klacz Nicka Whartona. Gdy ujrzała Czerwonoskó-

rego, podnoszącego broń do oka, obudziła się w niej niechęć do Indian, którą wpałał jej oddawna stara klacz Nick. Stara Diana nie mogła powstrzymać się przed okazaniem Czerwonoskóremu swej antypatii.

Zbliżyła się więc do niego, człapiąc kopytami, a gdy Indianin, zaskoczony dziwnym odgłosem odwrócił się, Diana ruszyła na niego pełnym galopem.

Czerwonoskóry nie zdążył nawet zrobić użytku z broni. Usiłował cofnąć się nieco do tyłu, lecz poślizgnął się na lodzie i runął na plecy, a karabin wypadł mu z dłoni.

W tej samej chwili wojownicza klacz jak burza wpadła na wroga, tratując go kopytami. Wtedy Indianin wydał wreszcie ów krzyk, który usłyszał Buffalo.

Gdy Cody usłyszał kroki Diany, pobiegł w jej kierunku i ujrzał na lodzie nieruchome ciało indyjskiego wojownika — zrozumiał wtedy, że stara klacz uratowała mu życie.

Diana zaś spokojnie wróciła na wybrzeże i w dalszym ciągu skubała żdźbła trawy.

Tymczasem Buffalo Bill znów zwrócił się w kierunku, z którego zbliżały się tajemnicze cienie. Teraz widać było wyraźnie, że są to biali...

— To mój oddział! Na pewno! — zawołał Cody z radością. — Jest tam sześciu moich chłopców! Dzielni ludzie!...

Nowa nadzieja wstąpiła w serce Króla Granicy. Wiedziała wprawdzie, że Indianie i tak przewyższają liczbą skromne siły wywiadowców, lecz znał swoich towarzyszy i wiedział, że każdy z nich może przeciwstawić się dwudziestu Czerwonoskórym.

Należało jednak zasygnalizować przyjaciołom swą obecność. Było to dość trudne, gdyż wielka ilość Indian, ukrytych w lesie na brzegu, nie pozwalała Cody'emu pokazać się na otwartej przestrzeni. Buffalo Bill podniósł rewolwer i dał trzy strzały w powietrze w jednakowych odstępach czasu. Był to sygnał dobrze znany wywiadowcom.

Wkrótce jeden z pędzących na łyżwach wywiadowców podniósł dłoń z rewolwerem i odpowiedział swemu dowódcy takim samym sygnałem.

Minęła już połowa nocy. Gdyby białym udało się przetrwać do świtu, byłiby uratowani.

Buffalo Bill wrócił do obozu i obwieścił radośną nowinę. Otucha wstąpiła w serca wszystkich, a stary Nick zacierał ręce z zadowolenia. Przyjaciele zaniepokojeni byli jedynie brakiem wiadomości o Dzikim Billu.

Cody opowiedział następnie o bohaterskim czynie Diany, co wywołało wielką radość starego Nicka, który był ze swej klaczy niesłychanie dumny.

— Tak — rzekł Nick Wharton — moja Diana pochodzi z rodziny, w której nienawiść do Czerwonoskórych jest dziedziczna. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego mojej Dianie widać wszystkie zębra... Chyba nie jest taka chuda ze złego odżywiania się? Jak sądzicie? Teraz na przykład odżywia się wspaniale — suszoną trawką przez cały dzień!

Podczas, gdy stary Nick chwalił swą klacz, Buffalo Bill powziął plan działania. Z chwilą, gdy nadejdą wywiadowcy, należy natychmiast z ich pomocą przetransportować panią Dunlap i małą Nelly na przeciwległy brzeg jeziora.

Cody obudził więc matkę i córeczkę, które były tak wyczerpane, że spały mimo wrzasków Indian, w tajemniczył panią Dunlap w swe zamiary, i wyjaśnił, że należy natychmiast wyruszyć.

Tymczasem nadbiegli wywiadowcy. Było ich sześciu, sami dzielni chłopcy, o barach jak niedźwiedzie.

Powitali swego dowódcę i zaczęli wypytywać o sytuację, grzejąc się przy ognisku.

Należało jednak wyruszyć natychmiast, aby zapewnić bezpieczeństwo kobiecie i dziecku. Jeden z wywiadowców zaproponował, że sporządzi z gałęzi i derek coś w rodzaju sań, na których będzie można przewieźć panią Dunlap i Nelly. Wzięto się zaraz do pracy.

Tymczasem Indianie przerwali swoje nawoływania i nagle cisza zapanowała nad jeziorem. Zdawało się, że Czerwonoskórzy szykują się do ataku.

Wywiadowcy pracowali szybko i sprawnie i po chwili zaimprovizowane sanie były gotowe. Wreszcie umieszczono w nich matkę i dziecko i sanie pod eskortą wywiadowców ruszyły na jezioro.

Z lasu rozległo się znów wycie dzikich, którzy widzieli ten wymarsz.

Przeprawa

W obozie pozostali tylko Buffalo Bill i Nick Wharton. Nie chcieli oni opuszczać wybrzeża, nie wiedząc nic o losie Franka Dunlapa.

Wywiadowcy, ciągnący ciężkie sanie, posuwali się w dość wolnym tempie i dwaj przyjaciele sądzili, że będą ich mogli dogonić.

Cody i Nick ukryli się w krzakach nad jeziorem i oczekiwali dalszego rozwoju wypadków.

W pewnej chwili na łód wypadło kilkunastu Indian, którzy rzucili się w pogoń za saniami. Dwaj wywiadowcy podnieśli broń do oka i wkrótce Czerwonoskórzy w popłochu wycofali się na brzeg, rażeni ogniem karabinów Buffalo Billa i Nicka.

Diana, która jako wychowanka Nicka, doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa kuli, zrejęterowała czymprędzej z wybrzeża i „zrobiła trupa” w pobliskich krzakach. Wyszła z nich dopiero po ustaniu strzelaniny.

Grupa wywiadowców, ciągnących sanie, była jeszcze dość blisko wybrzeża, gdy nagle od niewielkiego półwyspu oderwały się dwie postacie, które ruszyły szybko w stronę Cody'ego i starego Nicka.

Byli to: Frank Dunlap i Kolos Indyjski, obaj na łyżwach. Posuwali się obok siebie, jak para przyjaciół.

Frank skierował się wprost ku Buffalo Billowi, podczas gdy olbrzym został nieco w tyle.

Buffalo Bill wołał w kierunku chłopca, chcąc ułatwić mu odnalezienie kierunku. Frank pomknął z szybkością wiatru i po chwili stanął przed dwoma przyjaciółmi.

— No i cóż, młodzieńcze — rzekł Cody. — Jak widzę, zaprzyjaźniłeś się z olbrzymem.

— Ten człowiek zupełnie zasługuje na zaufanie — oświadczył z przekonaniem Frank.

— Czy wiesz już o nim coś dokładniejszego? — spytał Cody.

— Owszem dość dużo — odparł młodzieniec. — Jest to Indianin, pochodzący z jednego z plemion po tamtej stronie granicy kanadyjskiej. Plemię to wystąpiło na ścieżkę wojenną przeciw jednemu z tutejszych szczeptów. Podczas wojny została zabita narzeczona olbrzyma. Jak wynioskowałem z jego słów, rozpacz po stracie ukochanej była powodem wstrząsu psychicznego. Zdaje mi się, że biedny olbrzym jest niezupełnie normalny na umyśle.

Przybył on tu, aby pomścić śmierć swej ukochanej i dlatego pomaga białym, którzy występują przeciw Czerwonoskóрым rabusiom. Jest on jednak mimo swego upośledzenia dzielny człowiekiem i nawet dosyć inteligentnym. Władza nieźle angielskim, a nawet potrafi czytać i pisać. W każdym razie gotów jest nam zawsze służyć pomocą.

— Gdzie są matka i siostry?

Buffalo Bill opowiedział młodzieńcowi o przybyciu wywiadowców i dalszym przebiegu wypadków.

— Co zamierzasz teraz uczynić? — spytał Cody chłopca.

— Pozostanę z Kolosem Indyjskim — rzekł Frank. — Sądzę, że zaprzyjaźni on się również z wami i może oddać wam nieocenione usługi.

Buffalo Bill zastanowił się chwilę i rzekł:

— Niech tak będzie! Myślę, że wszystko będzie dobrze. Zostań z tym olbrzymem, przy którym jesteś przecież zupełnie bezpieczny. Do rana odnajdziemy się.

Buffalo Bill serdecznie uściśnął dłoń dzielnego chłopca, który następnie oddalił się w kierunku niecierpliwie czekającego olbrzyma.

— Możemy teraz przeprowić się przez łód — rzekł Buffalo. — Ostonimy w ten sposób odwrót wywiadowcom, ciągnącym sanie. Nie wiem jednak, co począć z Dianą. Czy twoja zacna klacz potrafi szybko posuwać się po lodzie?

— Nie zadawaj niemądrych pytań! — zawołał Nick oburzony. — Diana ślizga się, jak najlepszy łyżwiarz... Dotychczas nie pokazała tej sztuki, gdyż nie pozwoliła jej na to powaga. W tej sytuacji jednak, moja przyjaciółka zapomni o swej godności i pomknie po lodzie jak strzała. Zobaczysz...

To rzekłszy Nick dosiadł swej klaczy, Cody przymocował łyżwy do butów i obaj przyjaciele pomknęli po lodzie. Nick nie żartował. Diana galopowała tak dzielnie, że Cody musiał dobrze wyciągać nogi, aby nie zostać w tyle.

Gdy obaj wywiadowcy oddalili się nieco od brzegu rozległ się za nimi straszliwy okrzyk wojenny Czerwonoskóрых i kule zaczęły gęsto padać wokół nich, żłobiąc głębokie bruzdy w lodzie.

Diana zwiększyła tempo, Cody pochylił się do przodu i nasi przyjaciele mknęli z szybkością wiatru. Wkrótce znaleźli się poza zasięgiem strzałów.

Po kilkunastu minutach szybkiej jazdy nasi przyjaciele dogonili wywiadowców, którzy ciągnęli sanie i wraz z nimi posuwali się z wolna naprzód. Buffalo wyjaśnił pani Dunlap i Marian, że Frank znajduje się w bezpiecznym miejscu pod opieką Indyjskiego Kolosa. Oświadczenie to uspokoiło kobiety, które początkowo przeraziły się, nie widząc chłopca w towarzystwie Buffalo Billa.

Tymczasem Indianie zasygnalizowali o ucieczce białych swym współplemieńcom, znajdującym się na drugiej stronie jeziora w odległości około dwu mil od wybrzeża. Sygnały te przejęła niewielka grupka Czerwonoskóрых, która oddaliła się od siły głównej w celu zbadania okolicy. Na czele tej grupy stał wódz całej wyprawy, którego z daleka można było rozpoznać po wielkim i barwnym pióropuszu.

Wódz wysłał jednego wojownika do obozu głównego z wieścią o ucieczce białych, a sam, na czele dwunastu wojowników ruszył na jezioro.

Pierwszy zauważył Indian Nick Wharton i zameldował o swym spostrzeżeniu Cody'emu.

Buffalo Bill od razu rozpoznał wodza wojowników i śmiały plan zrodził się w jego umyśle. Zamierzał on zakończyć walkę bez rozlewu krwi i zmusić Czerwonoskórych do wycofania się z nad jeziora.

Cody natychmiast podzielił się z towarzyszami swym planem i przystąpiono do jego realizacji.

Buffalo Bill i sześciu wywiadowców ruszyło w szalonym pędzie na spotkanie Czerwonoskórym. Przy saniach pozostał jedynie stary Nick i jego wierna klacz.

Indianie nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Biali mieli wyższy i dlatego mieli nad nimi znaczną przewagę, gdyż pewnie i szybko mogli poruszać się na lodzie, podczas gdy Czerwonoskórzy niezręcznie ślizgali się w swych mokasynach.

Indianie rzucili się do ucieczki. Nie mogli oni strzelać, gdyż nie chcieli się zatrzymywać i gnali co sił do brzegu. Wywiadowcy byli jednak szybsi. Po kilku minutach dogonili Indian. Nie zamierzali robić im żadnej krzywdy. Buffalo Bill dopadł pierwszy do wodza i jednym uderzeniem powalił go na ziemię.

Wódz zerwał się jednak i znów rzucił się do ucieczki. Po drodze usiłował wydobyć z za pasa tomahawk, ale posuwał się po lodzie tak niezręcznie, że każdy ruch groził mu utratą równowagi.

Buffalo Bill zamierzał odciąć wodza od reszty wojowników i wziąć go do niewoli. Indianin zrozumiał to i za wszelką cenę usiłował wywinąć się z rąk wywiadowcy.

Napróżno jednak. Szczęście wyraźnie sprzyjało białym. W pewnym momencie uciekający znaleźli się przed otwartą wodą... W tym miejscu wpadał do jeziora niewielki, lecz wartki strumień, wskutek czego miejsce to pozostało na pewnej przestrzeni niezamarznięte. Indianie znaleźli się więc w pułapce.

Kilku z nich skoczyło do wody, nie zważając na przejmujące zimno, a reszta zaczęła biec wzdłuż przerebli. Wywiadowcy nie zwracali teraz najmniejszej uwagi na wojowników i rzucili się na po-

moc Cody'emu, który znów zwał się w zapasach z wodzem. Po krótkim szamotaniu się Czerwonoskóry był skrepowany i zgrzytając zębami dał się powieść ku saniom.

Buffalo Bill zdobył zakładnika.

Gdy wywiadowcy ze swym łupem powrócili do swoich, Cody zwrócił się do wodza:

— Biali ludzie nie zamierzają uczynić ci nic złego! Nie spadnie ci włos z głowy. Wiemy, że jesteś wielkim wodzem i że bez ciebie Czerwonoskórzy nie ruszą do walki. Powrócisz do swoich jeśli twoi wojownicy zaprzestaną walki i wycofają się znad jeziora!

Wódz musiał oczywiście przyjąć te warunki. Gdy nasi przyjaciele znaleźli się wreszcie na brzegu jeziora, zjawił się tam również Frank Dunlap wraz z Kolosem Indyjskim.

Olbrzym nie chciał za nic zbliżyć się do obozu białych, zgodził się natomiast na to, aby udać się do obozowiska Indian i zanieść im poselstwo wodza.

Zakończenie

Indianie wycofali się z okolicy. Wódz ich powrócił do swoich, uwalniając wszystkich białych jeńców, którzy znajdowali się w obozie Czerwonoskórych. Jakaż była radość Buffalo Billa i Nicka Whartona, gdy wśród jeńców znalazł się... Dziki Bill. Nie chciał on w żaden sposób powiedzieć, w jaki sposób schwytali go Indianie.

— Właśnie chciałem popęlić jakieś szaleństwo, gdy te diabły mnie uwięziły!... — była to jego jedyna odpowiedź, gdy go pytano o jego przygody.

Dunlapowie osiedlili się po kilkutygodniowym wypoczynku w jednej z osad w okolicy jeziora, a w kilka lat później Frank Dunlap został wywiadowcą i wstąpił do służby pod kierownictwem Buffalo Billa.

Kolos Indyjski nie pokazał się już więcej w tych stronach. Znikł na zawsze.

Jeśli chodzi o Nicka Whartona i jego starą Dianę, to brali oni oboje czynny udział w niejednej jeszcze awanturze, przy boku Króla Granicy.

Koniec



Następny **Nr. 4 Buffalo Billa**, który ukaże się w czwartek dnia 3 marca zawierać będzie przygodę p. t.

TAJNY ZWIĄZEK

Cena 10 gr.

Cena 10 gr.

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU



Kim jest **BUFFALO BILL?**

Tak nazywano pułkownika armii Stanów Zjednoczonych, **W. F. Cody'ego**, znanego również wśród osadników, myśliwców i Indian na Dalekim Zachodzie, pod mianem **Króla Granicy** lub **Króla Prerii**.

Był to okres, gdy biali osadnicy w Ameryce posuwali się powoli ze wschodu na zachód, kolonizując dziki dotychczas kraj. W pochodzie swym natrafiali na wiele przeszkód — musieli często walczyć z groźną przyrodą i groźniejszymi jeszcze plemionami Czerwonoskórych. Drogę dla owych osadników torowali wywiadowcy, na których czele stał właśnie **Buffalo Bill**. Zadaniem ich było przygotowanie warunków dla przyszłej kolonizacji oraz ochrona już założonych osad.

Nasze opowiadania zawierają szereg ciekawych przeżyć i przygód dowódcy wywiadowców **Buffalo Billa** i jego dwóch dzielnych towarzyszy, **Billa Hickocka**, dla swej porywczosci i niepomamowanego temperamentu zwanego **Dzikiem Billem**, oraz **Nicka Whartona**, starego „rycerza prerii“, który już z niejednego pieca chleb jadł i przemierzył Amerykę od Alaski do Meksyku.

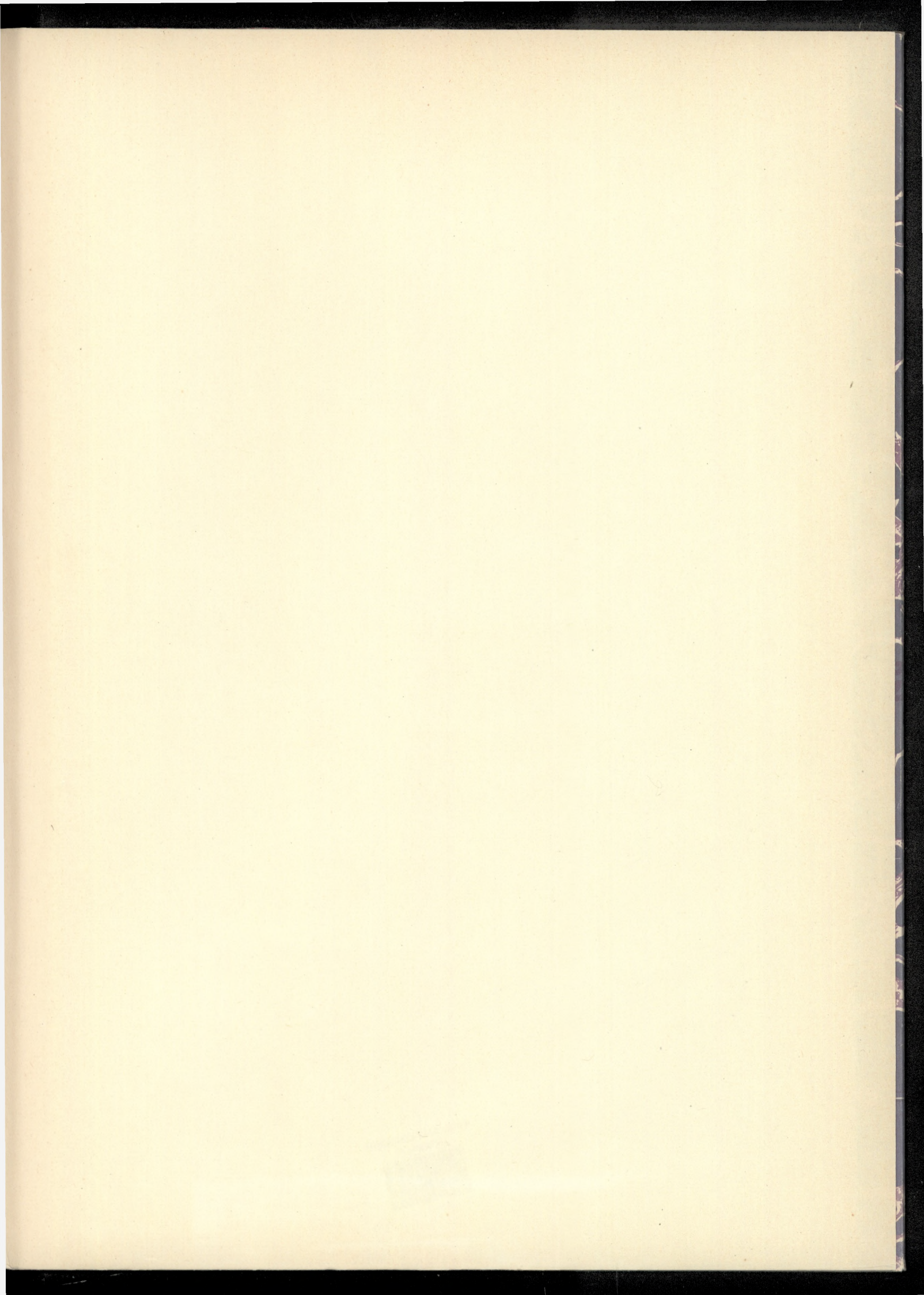
Przygody Buffalo Billa i jego dwóch towarzyszy to wspaniała epopea bohaterstwa, poświęcenia, przyjaźni i wierności.

Czytajcie **PRZYGODY** Czytajcie
BUFFALO BILLA

Cena
10 gr.

Co tydzień ukazuje się jeden zeszyt, stanowiący oddzielną całość

Cena
10 gr.



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023453102



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

623406/3

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN